

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MAJ 2020/3

magazynhisteria.pl



ALA MIAŁA KOTA
HOTEL LA MORIR
KRUK
MINUTNIK
OSTATNI DOM PRZY CORNLAND ROAD
ZERWANE OKOWY

SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
ALA MIAŁA KOTA	Agnieszka Mohylowska	4
HOTEL LA MORIR	Miłosz Piotrowski	14
KRUK	Ewelina Sławek	21
MINUTNIK	Beata "Powiało Chłodem" Mróz	33
OSTATNI DOM PRZY CORNLAND ROAD	Wojciech Kryski	46
ZERWANE OKOWY	Paweł Wójcik	57

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka : Joanna Widomska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Roman Panasiuk, Małgorzata Siłkowska, Izabela Wojciechowska, Zvyrke

Korekta: Kaja Jaroszevska, Joanna Korytko

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami majowa Histeria, czyli 38. wydanie naszego magazynu. W środku znajduje się sześć opowiadań szeroko pojętej grozy, które (mamy nadzieję) umiłą Wam czas. Życzymy strasznej lektury i wracamy do prac nad lipcowym numerem.



B. Jaworski i M. Zawadzki



ALA MIAŁA KOTA

Agnieszka Mohylowska

Od kilku lat otaczają mnie te same twarze – przedwcześnie postarzałe twarzyczki dzieci, które całymi dniami snują się po domu, wykonując zleczone zadania niemające sensu. Patrzą na zabazgrane zeszyty, talerze z brejowatą zupą, brudne podłogi i ususzone w kątach szczury, ale niczego nie dostrzegają. Ich spojrzenia wypełnia pustka, która w najbardziej ponure dni wylewa się na korytarze, pokoje i sypialnie równie pustego budynku, którego nikt, nawet ślepiec, nie nazwałby domem. Mimo że wszystkie jego pomieszczenia, o każdej porze dnia, zajmują dziwne stworzenia, kiedyś będące czyimiś dziećmi, to pustka emanuje zewsząd. Czuć ją w ścianach, ceglach i dachówkach. Jest to tego rodzaju budynek, do którego nie zapukałbyś, gdyby na ulicy zaskoczyła cię ulewa. Mieszkańcy Ciemiaszyn, jeśli tylko mogą,

omijają go szerokim łukiem, a nie jest to trudne, kiedy znajduje się na pustkowiu otoczonym polami i lasem. Czasem tylko szutrową drogą przejedzie jakiś traktorzysta i instynktownie odwróci wzrok od zarośniętego ogrodu i popadającego w ruinę sierocińca, wstydlivej tajemnicy zapomnianej przez Boga wioski.

Może to nie życiowe tragedie, a to miejsce tak nas zmieniło? Wyssało ostatnie krople życia, czyniąc pozbawionymi emocji kukłami. Nas... Już zaczynam postrzegać siebie jako jedną z nich. Noszę ten sam sprany mundurek, śpię na tym samym twardym materacu i jem ten sam kwaśny chleb, lecz jestem inna, jeszcze się nie poddałam. Za dnia jak reszta przypominam cień, który szukając swojego właściciela, pojawia się w przypadkowych miejscach. Jednak wieczorem nie wskakuję z rozmarzeniem do łóżka niczym do wehikułu czasu. Nie zaliczam się do jednej z tych twarzy zamykających oczy tylko po to, by w snach podróżować po prawdziwych lub zmyślonych światach, gdzie czekają domy z ciepłym kominkiem i kochającą rodziną. Nie jestem jedną z nich. Noc nie przynosi ukojenia, jedynie koszmary na jawie, w których obserwują mnie dziesiątki święcących oczu gotowych do ataku. Nie mogę zasnąć, kiedy zagrożenie jest blisko i serce bije mi tak głośno, lecz to strach trzyma mnie przy zdrowych zmysłach. Po zmroku, gdy inni przemierzają fantastyczne krainy, piszę lub wpatruję się w szare ściany pokryte pleśnią i rzędy metalowych łóżek ułożeniem przypominające labirynt. Utrudniają wydostanie się stąd, jak gdyby któreś z nas miało gdzie się podziać.

Jest pierwsza, siedzę pod kocem z małą latarką, prezentem od taty. Na kartce maczkiem zapisuję kolejne zdania porządkujące myśli. Ramiona mam zdrętwiałe, a nogi przemarznięte, ale i tak jestem w lepszym nastroju niż zwykle. Wszystko dzięki szalejącej wichurze. Jej podmuchy cyklicznie wpadają do środka i unosząc liche kołdry, zostawiają gęsią skórkę na stópkach i rączkach wystających spod jednakowych pościeli. Szum wiatru przedzierającego się przez nieszczelne drewniane okna zagłusza inne odgłosy z zewnątrz, te, których się obawiam. Nasączone nienawiścią syczenie rozbrzmiewa regularnie, noc w noc, odkąd tu trafiłam. Wydające je istoty czerpią satysfakcję z paralizującego mnie strachu, kiedy wyglądam zza szyby na rozświetlony żółtymi ślepiami ogród, i delektują się upływającymi w napięciu godzinami, podczas których zastanawiam się, czy tym razem przyszedł czas na ze swoją ofiarą na dobre. Zazwyczaj obchodzą się ze mną jak z myszką i podekscytowane patrzą, jak wiję się, nie mogąc uciec z pułapki. Im dłużej cierpię, obawiając się o życie, tym lepiej. Cierpliwie czekają pod oknem na odpowiedni moment, gdy znajdę się na granicy wytrzymałości. Wtedy wyciągną po mnie swe zakończone ostrymi pazurami łapy.

Sprytnie to sobie wykombinowały, zostawiając mnie na koniec. A wszystko zaczęło się niewinnie, jak w każdej historii, która źle się kończy. Kiedyś wraz z rodzicami mieszkałam w dużym domu jednorodinnym przy kościele, w samym sercu Ciemiaszyn. Mama była pielęgniarką, a ojciec pracował w spółdzielni mleczarskiej. Żylibyśmy sobie zwyczajnie, czasem bardziej, a czasem mniej szczęśliwie, aż do teraz, gdyby mama nie zachorowała na zapalenie płuc. Jednak to nie chore płuca ją zabiły, a serce, które miała za miękkie. Kochała zwierzęta, szczególnie te zaniedbane i opuszczone, a takich w naszej wsi nie brakowało. Dokarmiła wszystkie, które polując, przechodziły przez nasze podwórko. W zimniejsze wieczory uchylała drzwi starej szopy, gdzie przyciągnęła snopek słomy od sąsiada. Przed nią stawiała zaś puste pudełka, napełniając je czym tylko mogła – mlekiem lub resztkami z obiadu.

Zaczął się od Ferdka. Zjawił się jako pierwszy, kiedy pielęła grządki w ogrodzie. Podbiegł, zamruczał i otarł się o nogi, jakby wiedząc, że to najlepsza droga do jej serca. Mama nie mogła przejść obok niego obojętnie, więc szybko zadomowił się na naszym podwórzu i stał się stałym bywalcem drewnianej szopki. Dużo czasu spędzał, wylegując się przy misce i czekając na nową dostawę darmowego jedzenia. Czasem patrzyłam na niego przez okno mojego pokoju. Leżał nieruchomo, nie siłąc się nawet na wylizywanie poszarzałego futerka. Wyglądał jak ktoś zmęczony życiem, kto już nie wierzy, że kiedykolwiek uda mu się rozwiązać nagromadzone przez lata problemy.

Później zjawiły się inne. Najpierw nieśmiało kryjąc się między świerkami, stopniowo wychodziły z cienia, coraz pewniej dopominając się o uwagę i pożywienie. Mama każdego witała z otwartymi ramionami, taka już była bezgranicznie ufna. Wierzyła, że czynione dobro wraca w tej samej lub innej postaci. Zasadą tą kierowała się w życiu prywatnym i zawodowym. Uwielbiała swoją pracę. Przychodziła z niej spełniona i uśmiechnięta, bo kochała pomagać. Życiową misję wypełniała więc codziennie, nawet po godzinach, kiedy nikt nie patrzył. Z troską, ale też z radością patrzyła na powiększające się stadko podopiecznych ściągających tu z całej okolicy. Nie mieściło jej się w głowie, że ludzie najpierw biorą sobie zwierzęta, a później nie interesują się ich losem. Tu, w Ciemiaszynach, zdarzało się to często, bo kotów było w bród. Miały łowić myszy i tyle. Nikt nie przejmował się tym, czy będą miały co zjeść, jeśli gryzoni zabraknie. Nikt oprócz mamy. Dlatego na wiejskich ulicach, drózkach i polach pałętało się ich mnóstwo. Niemało też ginęło co roku. A to przez pędzący samochód, trutkę na szczury, młodocianego sadystę czy wściekłego rolnika nie lubiącego nieproszonych gości. Nikt zresztą po nich nie płakał, bardzo często nikt nawet nie zauważył, że zniknęło parę kotów, bo zaraz ich miejsce zajmowały nowe. Samice, nieświadome swej kiepskiej sytuacji,

kociły się na potęgę i jeśli tylko młodym udawało się przeżyć, dołączały do bezdomnej kociej rodziny.

Tata nie pochwalał nowej działalności charytatywnej mamy. Ciężko pracował i gdy wracał do domu, nie miał ochoty przedzierać się do drzwi przez rzędy miauczących sierściuchów. Zawsze był też nieufny wobec zwierząt i odziedziczyłam to po nim. Z czasem jednak, tak jak tata, przyzwyczaiałam się do ich widoku, kiedy wracałam ze szkoły, bawiłam się w ogrodzie czy wyglądałam przez okno. Koty tłoczyły się na ganku, leżały na parapetach, chodziły po dachu garażu, czały się w trawie lub siedziały na gałęziach drzew. Były wszędzie. Żadna mysz nie uchowała się na podwórku, a z czasem przestały odwiedzać je także okoliczne ptaki wcześniej tak pięknie śpiewające z rana. Ptasią muzykę zastąpiła kocia – rozbrzmiewająca za każdym razem, jak któreś z nas wyszło za próg domu.

Na początku pomagałam mamie je karmić, choć niechętnie. To ocieranie się o nogi, piski i mruczenie – drażniły mnie. Najgorszy był jednak ich wygląd. Brzydziłam się zaropiałymi oczami, wyliniałą sierścią i pogryzionymi uszami. Uważałam, aby któregoś przypadkowo nie dotknąć. Mama zaś głaskała sprawiedliwie te ładniejsze i te brzydsze, z niepokojem zerkając na skromny kubełek jedzenia. „Nie starczy dla wszystkich” – żal ściszał jej serce na myśl, że niektóre z nich spędzą noc o pustym żołądku. Gdy tylko pudełka się zapełniały, wygłodniałe zwierzęta parły do przodu, przeciskając się i sycząc jedne na drugie. Wzdrygałam się wtedy i schodziłam im z drogi. Mama uważnie mnie obserwowała. „Oj, Aluś, musimy im pomóc. Jeśli my tego nie zrobimy, to kto?” – mówiła. Wiedziałam, że zastanawia się, dlaczego jestem tak mało do niej podobna. Ciemne włosy i oczy, dziwnie długie i chude kończyny odziedziczyłam po ojcu, tak jak charakter. Pewnie dlatego któregoś dnia zaproponowała, abym wzięła jednego kota tylko dla siebie. Miał zmiękczyć moje twarde serce.

„Nazwę go Kropek” – stwierdziłam, zabierając najmniejszego kociaka do domu. Miał czarne futerko z kilkoma białymi plamami na brzuchu. Nauczyłam go omijać salon, gdzie tata groźnie łypał na niego wzrokiem, paląc papierosy przed czarno-białym telewizorem. Często podśmiewywał się ze mnie, powtarzając ochryplym głosem zdanie z elementarza: „Ala ma kota”, a ja dodawałam: „A kot ma Alę”. Nie na rękę był mu kręcący się po domu pchlarz, ale nic nie mówił mamie. Po tylu latach małżeństwa kochał w niej nawet to, co równocześnie działało mu na nerwy. Zgodnie z planem szybko przywiązałam się do nowego pupila. Polubiłam to, jak mruczał na moich kolanach, kiedy odrabiałam lekcje, i jak chodził za mną po pokoju, ocierając się o kostki. Kropek sprawił, że trochę oswoiłam się z obecnością kotów na podwórzu. Był to mój pierwszy krok w kierunku przemiany. W przyszłości miałam stać się

taka jak mama. Jednak kolejne tygodnie wszystko przekreśliły i zaczęłam się cofać, aż wylądowałam w miejscu, w którym jestem teraz.

Jeśli miałabym wskazać moment, w którym wszystko się popsulo, to byłoby to zaraz po przygarnięciu Kropka. Nawet nie zauważyłam, kiedy mama zaczęła kaszleć, z dnia na dzień coraz mocniej. W tym samym czasie na podwórku pojawił się dziwny kocur. Teraz już wiem, że był on niczym zły omen zapowiadający rychłą katastrofę. Gdy przyszedł pierwszy raz i majestatycznie przysiadł na dachu garażu, ze swoim nadzwyczaj białym futerkiem wyglądał jak duch i tak też zaczęłam go nazywać. Był największym osobnikiem z całej gromady. Swym ogromnym cielskiem musiał budzić respekt, bo inne koty pokornie schodziły mu z drogi. Mnie także niepokoił widok jego pyska, wydawał się jakiś mało koci. Osadzone na nim wyraziście żółte oczy ciągle patrolowały okolicę. Kiedy się przypatrzyłam, dostrzegłam, co było nie tak z jego mordką. Brakowało na niej nosa. Coś go wyżarło, zostawiając wklęsłą różową dziurę poklejoną podłużnymi strupami. Oddychając, sapał, a miaucząc, wydawał niskie dźwięki. Obserwując go przez okno, odkryłam, jakim cudem ma tak śnieżnobiałe futerko, niemal nie do utrzymania podczas deszczowego listopada. Inne koty, które zdominował, nieustannie go wylizowały.

Wraz z pojawieniem się Ducha i chorobą mamy w ogrodzie nastały nowe porządki. Im słabsza była, tym beznosy kocur rósł w siłę i podporządkowywał sobie kocią rodzinę. Zwierzęta stały się nerwowe i coraz nachalniej dopominały się o to, co według nich im się należało. Doszło nawet do tego, że oprócz mamy nikt nie mógł wyjść z domu, nie będąc podrapanym przez rozdrażnione zwierzęta gryzące po rękach, czepiające się nogawek spodni i skaczące na plecy. Któregoś dnia tata nie wytrzymał. „Przestań karmić te kocie mordy, bo przysięgam, że je pozabijam! Ledwo wiążemy koniec z końcem, a ty im jeszcze jedzenie wynosisz” – wydarł się i miał dużo racji. W sklepach półki świeciły pustkami i nawet na wsi trzeba było kombinować, żeby załatwić trochę dobrej kiełbasy. Mama przytaknęła, choć było oczywiste, że nie zostawi biedaków samych sobie. Może pozbawione tych ochłapów, które od nas dostawały, odeszłyby, ale dokąd? Wiem, że to ją gryzło, więc każdej nocy, kiedy ojciec już spał, opatulona szalikiem wymykała się z domu, w zmarzniętej ręce trzymając szklaną butelkę z mlekiem. Było to już wtedy, gdy zaczęła gorączkować i lekarz polecił jej leżeć w łóżku. Krótco po tym trafiła do szpitala i nie mogąc złapać oddechu, już z niego nie wróciła.

Dobrze pamiętam ten dzień. Na zewnątrz szalała wichura, tak jak teraz, kiedy ojciec pojawił się w domu z potworną nowiną. Nie mógł ustać na nogach, do ziemi przyciskał go ciężar niezmiernego żalu oraz płynący w żyłach alkohol. „Zmarła” – wycharczał, kładąc się na kanapie, a w pokoju zrobiło się jakoś ciemniej i straszniej. Wtedy jeszcze nie wiedziałam,

że wraz z odejściem mamy mrok i strach zamieszkał w naszym domu już na stałe. Tata staczał się z góry swojego smutku powiększającej się z dnia na dzień. Upadki były coraz boleśniejsze. Zaczął pić i stał się cieniem dawnego siebie. Przybyło mu zmarszczek i siwych włosów, a szorstkie dłonie wieńczyły brudne paznokcie, które zatapiał w ziemi za każdym razem jak tracił równowagę, wracając do domu. Nawet jego zapach się zmienił. Słodka woń mleka połączyła się ze smrodem wódki, co sprawiło, że wydawał mi się jakiś obcy, niebezpieczny. To nie był już mój dawny ojciec i nie potrafiłam się z nim porozumieć. Oboje więc zamknęliśmy się w swoich skorupach, gromadząc w nich rozpacz niczym cenny skarb mający wynagradzać poniesioną stratę.

Ale nie tylko on się zmienił. Nie wiadomo kiedy znaleźliśmy się w nieprzyjaznej przestrzeni pośród zakurzonych podłóg, oplecionych pajęczynami ścian, stert brudnych talerzy i pozostawianych w przypadkowych miejscach rzeczy. Rodzinny dom powoli przejmowały rodzące się w ciemności żyjątka. Pajęczki, muszki, robaczki i inne drobne organizmy niepostrzeżenie wkraczały na opuszczony teren kiedyś zamieszkiwany przez żywych ludzi. Bezradnie wsłuchiwałam się w ciche odgłosy rodzącego się obok mnie nowego życia i nie miałam siły protestować. Całą energię pożytkowałam na codzienne zmuszanie się do trwania. W nocy zaś do tej symfonii natury dołączały one – stworzenia mieszkające obok. Drapały drzwi, wydzierając się w niebogłosy, głodne i wściekłe. Później słyszałam, jak przemykają przez niedomknięte okienko w kotłowni, wdzierając się do środka. Tylko cienkie drzwi piwnicy powstrzymywały je przed dostaniem się do miejsca, w którym żyliśmy. Tupot łap rozbrzmiewał na cementowych posadzkach i echem odbijał się o puste ściany. Gdy schodziłam dorzucić do pieca, koty milkły. Zdradzała je tylko unosząca się w powietrzu sierść oraz smród moczu. W plecy wbijały mi swe spojrzenia. Czaiły się w ciemności, bym nie odkryła ich kryjówek. Jeszcze wtedy nie czuły się pewnie na cudzym terytorium.

Zaraz po śmierci mamy próbowałam ją zastąpić. Sprzątałam i gotowałam, lecz zajmując jej miejsce, wypełniałam pustkę, która powinna pozostać nienaruszona. Wymazywałam pamięć o niej. Wiedział to ojciec i wzbierał w nim gniew, więc przestałam. Koty też chciałam karmić, naśladując mamę, ale one, tak jak tata, nie przyjmowały pomocy i nie pozwalały do siebie podejść. Po jej śmierci jakby zdziczały. Podobno zwierzęta instynktownie wyczuwają dobrego człowieka. Mnie jednak odrzuciły i przez to czułam się jeszcze gorzej. Syczały i drapały bez powodu i opamiętania. Moją zbliżającą się rękę traktowały jak zagrożenie. W końcu przestałam próbować. Zresztą pieniędzy na jedzenie i tak było mniej, bo ojciec znalazł pilniejszą potrzebę ich pożytkowania. Pod koniec listopada wyrabiał normę na nocnej zmianie i kiedy wracał, tylko mijaliśmy się w progu. On kładł się

spać, ja szłam do szkoły. Pewnego ranka spóźnił się i go nie zobaczyłam, ale pomyślałam, że może zmienił swoje zwyczaje i postanowił pić już od rana. Nie myliłam się. Wróciłam ze szkoły i patrzyłam, jak leży na schodach przed drzwiami. Koty obwąchiwały go, siedząc mu na plecach i nogach. Mruczały. Pewnie czuły zapach mleka. Dobrze, że go ogrzewały, lecz nie spodobała mi się ta ich nagła czułość. Podeszłam bliżej i wtedy zasyczały. Widocznie w przeciwieństwie do ojca nie byłam tu mile widziana. Odgoniłam je podniesionym z ziemi patykiem. Nie chciałam znów paść ofiarą ostrych pazurów. Ocuciłam tatę i pomogłam mu wejść do środka. Kładąc się na kanapie, wybełkotał: „Cholerne koty”, a ja przytaknęłam, rozumiejąc, o co mu chodzi. Zwinął się w kłębek pod kocem i zaczął chrapać. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że wygląda jak jeden z nich – zmarznięty, zaniedbany i śmierdzący kot. Od tamtej chwili nie zamieniliśmy już ani słowa.

W grudniu spadł śnieg, próbując zasłonić cały ten bałagan, i wtedy też nastąpił kolejny etap żałoby. Jak tylko ojciec trzeźwiał, zaczynał szaleć. Nieoczekiwane odpowiedzialne za nasze nieszczęścia były krzesła, stolik do kawy, pusty wazon i doniczki z uschniętymi kwiatami, na których wyładowywał swoją złość. Odgłosy rzucanych przedmiotów i tłuczonego szkła dochodziły do mojej sypialni, ale nie miałam mu tego za złe. Pustkę w sercu wypełniał gniewem. Niszczył stary porządek, by później móc zbudować nowy. Dobrze go rozumiałam. Sama cały czas czułam wściekłość, ale próbowałam leczyć ją samotnością, dlatego już po pogrzebie wyrzuciłam Kropka na zewnątrz. Nie mogłam na niego patrzeć, bo przypominał mi o mamie i niemającej już szans powodzenia próbie upodobnienia się do niej. Nie cierpiałam jego łaszenia się, ocierania i mruczenia brzmiącego jak kiedyś, jakby nic się nie stało, nic nie zmieniło. Był tylko niczego nierozumiejącym, bezmózgim futrzakiem i za to go zniechęciłam. Kiedy znalazł się za drzwiami, odetchnęłam z ulgą, ale tylko na chwilę. Koty z zemsty nie chciały dać mi spokoju i stały się bardziej natarczywe. Duch znalazł w końcu sposób, by otworzyć drewniane drzwi odgradzające piwnicę od korytarza i salonu. Skakał na klamkę, napierając na nią swoim ciężarem. Wieczorami nie byłam pewna, czy to tata potykał się o leżące na podłodze puste butelki, czy to koty grasowały po kuchni. Z obawy przed widokiem zataczającego się ojca bałam się to sprawdzić. Kiedy rano schodziłam na dół, widziałam kłęby kurzu, sierści i potłuczone szkło.

Już od dłuższego czasu zajmowałam piętro, tata zaś rozgościł się na parterze. Nie miał wstępu do mojej samotni, czego pilnowały schody, z którymi już sobie nie radził. Z potrzeby stumetrowy dom podzieliliśmy równo między siebie. Nagle jednak koty postanowiły zabrać nam przestrzeń potrzebną do leczenia bólu. Za dnia skrywały się w piwnicy. Dopiero gdy robiło się ciemno, wychodziły z ukrycia. Słyszałam trzeszczenie drewnianej podłogi

w salonie i wyobrażałam sobie, jak siedzą na pijanym ojcu, obwąchując mu twarz i rękę. Bałam się, że w końcu znudzą się tym miejscem i zapragną więcej. Swój pokój zamykałam na klucz, co noc nasłuchując odgłosów stąpających po schodach łap. Dźwięki te podsuwała mi wyobraźnia, lecz wiedziałam, że kiedyś staną się rzeczywistością i pewnej nocy koty zagarną także moją kryjówkę. Realizowały swój plan, zajmując skrawek po skrawku kolejne pomieszczenia, nie zważając na ich lokatorów. We dwoje już było tłoczno, a jak tylko pojawiły się one, zaczęliśmy się dusić.

Pierwszy nie wytrzymał tata. Widziałam to w jego zmęczonej twarzy i przygaszonych oczach, słyszałam w odgłosach, które wydawał, głośno dysząc. Gdy zobaczyłam zakrwawioną siekierę na podwórku, wcale się nie zdziwiłam. By zacerpnąć powietrza, musiał najpierw poczuć siłę swojego bijącego serca i krążącą w żyłach krew. Ja też tego potrzebowałam, ale brakowało mi odwagi. Jakaś tajemnicza siła drzemiąca głęboko we wnętrzu kazała mi się wzdrygnąć, kiedy spojrzałam przez okno na rozcięte na pół ciało. Należało do Ferdka, co także mnie nie zaskoczyło. Żaden inny kot nie dałby się tak podejść, tylko on był na tyle powolny, żeby nie uciec przed spadającym na niego ostrzem. Leżał koło pieńka, na którym ojciec rąbał drewno na opał. Wokół gromadziły się koty wcześniej wystraszone tym niespodziewanym wybuchem agresji. Ostrożnie stawiały łapki, aby zbliżyć się do truchła i obwąchać pokropiony ciepłą krwią śnieg. Trzasnęły drzwi i usłyszałam, że tata krząta się po salonie. Wróciły mu siły.

Kolejne dni okazały się o niebo lepsze. Ojciec mniej pił, a koty odpuściły. Trzymały dystans i nie zakradały się już do domu, zapewne bojąc się wejść w drogę wściekłemu gospodarzowi. Wszystko szło w dobrym kierunku, jak zawsze przed największą katastrofą. Ja też odzyskałam odrobinę spokoju po pozbyciu się Kropka i zyskiwałam go jeszcze więcej, patrząc na zmiany w zachowaniu ojca, który pierwszy raz od śmierci mamy podśpiewywał podczas golenia. Zazdrościłam mu. Przelana krew, choćby głupiego zwierzęcia, oczyszcza. Kiedy szedł do pracy i zostawałam sama w domu, też próbowałam pobudzić się do życia. Chciałam uwolnić nasz dom z władzy chaosu. Zamiatałam podłogi i ściany, pozbywając się kurzu, pajęczyn i sierści oraz delektując się soczystym odgłosem rozgniatanych członkiem miotły pajaków i karaluchów. Ich kawałki zbierałam na szufelce. Im cięższa się robiła, tym czułam się silniejsza. Zdrowiałam.

Jednak tuż przed świętami znów mi się pogorszyło. Ostatni dzień w szkole był okropny. Zebrałam różgi od polonistki za – jak je nazwała – niestosowne wypracowanie, a potem wracałam do domu w wyjątkowo mroźne popołudnie. Padał śnieg. Wyciągnęłam obite dłonie z kieszeni kurtki i pozwoliłam wirującym płatkom je ochłodzić. Ból trochę zelżał,

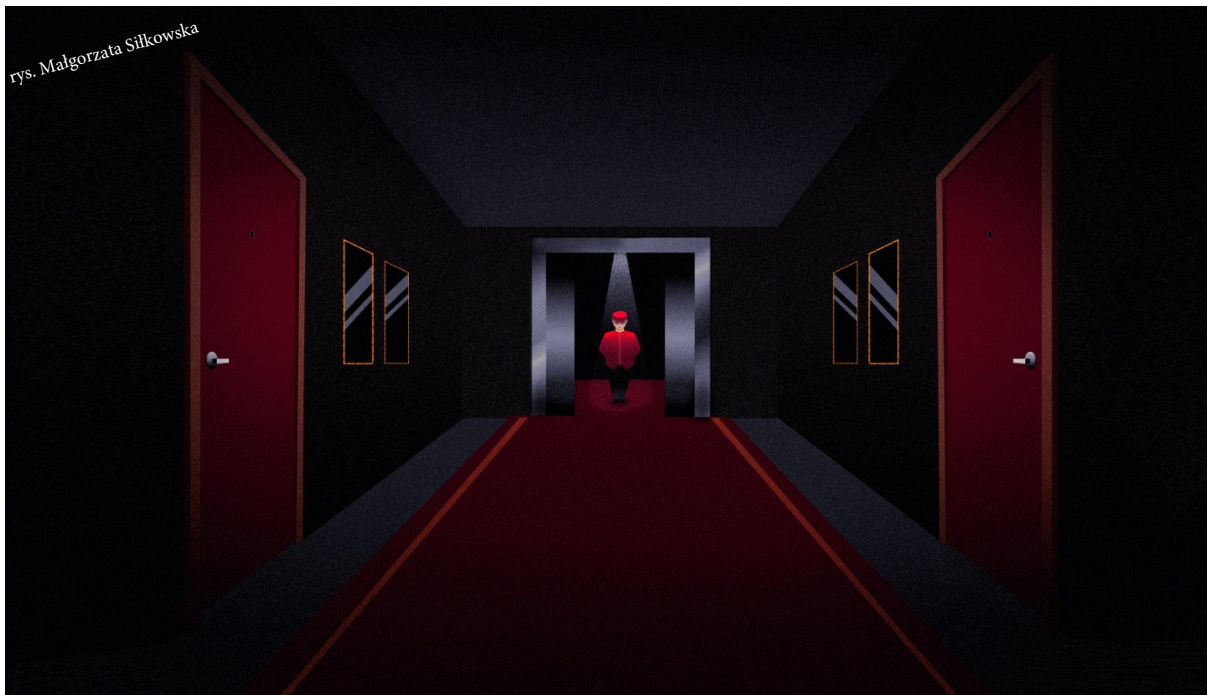
aby za chwilę odrodzić się na nowo. Kiedy weszłam na podwórko i zobaczyłam tatę, piekły mnie nie tylko dłonie, ale cała skóra oblekająca ciało. Leżał na schodach, tam gdzie często znajdowałam go pijanego, w roboczym ubraniu przysypanym białym puchem. Z purpurową twarzą ukrytą między rękami wyglądał jak ktoś zawstydzony swoim losem. Z podrapanego gardła sączyła się krew i ściekała na kafelki, na których siedziała gromada kotów. Machały napuszczonymi ogonami i pochylały się, by powąchać powiększającą się kałużę. Były tak zajęte, że nie zauważyły, jak przyszłam. Jedyne siedzący na ojcu wielki beznosy kocur odwrócił się na dźwięk skrzypiącej furtki i kroków stawianych na śniegu. W jego białe futro zdążyły wsiąknąć krwiste plamy. Nie był już tak czysty jak zazwyczaj. Żółte oczy patrzyły wprost na mnie, prowokująco czekając na mój ruch.

Gdy chwyciłam szypę opartą o garaż, Duch wydał z siebie długi, niski świst, którego nigdy przedtem nie słyszałam u zwierzęcia. Wtedy pozostałe koty spojrzały na mnie, wyprostowały się i naprężyły, przygotowując do ataku. Rozległ się kolejny głośny dźwięk, tym razem przypominający charknięcie i koty odsunęły się na boki, robiąc miejsce ukrytemu na ganku kociakowi. „Kropek” – wyszeptalam i choć był to tylko mały, głupi kot, to zmroziło mnie. Spojrzał na Ducha, jakby chcąc się upewnić, czy dobrze zrozumiał rozkaz, a potem ruszył na mnie, wyciągając pazury. Uskoczyłam w bok, zamachnęłam się i podejmując ostateczną decyzję, której już nie mogłam cofnąć, uderzyłam go z całej siły. Usłyszałam brzdęk metalu. Kropek leżał nieruchomo na śniegu. Koty zawyły, a potem zaatakowały całą gromadą. Skakały na mnie, uczepiając się nogawek spodni. Było ich zaskakująco wiele. Nie wiedziałam, że tak dużo zwierząt żyło w zakamarkach naszego podwórka. Ich ciężar w końcu powalił mnie na ziemię. Czułam wbijające się w skórę pazury. Drapały mnie po nogach, rękach i twarzy, tylko przez grubą kurtkę nie mogły się przebić. Twarda, kamienista ziemia ugniatała mi plecy. Jak przewrócony żuczek bezradnie wymachiwałam kończynami w nadziei, że przegonię te mściwe bestie.

Kiedy udało mi się zrzucić z siebie kilka rozwścieczonych kotów, zaraz ich miejsce zajmowały inne. Kopałam i waliłam w nie pięściami coraz szybciej i mocniej, nie zważając na krwawiące zadrapania. One też się nie poddawały. Zaczęły gryźć, wbijając ostre ząbki w odsłonięte na ciele miejsca. Już wcześniej poranione dłonie teraz piekły niemiłosiernie, a twarz i szyja zamieniły się w jedną wielką palącą ranę. Po długiej walce udało mi się jednak stanąć na nogi. Nie miałam szans, aby ukryć się w domu. Skończyłabym jak ojciec, jeśli próbowałabym otworzyć zamknięte na klucz drzwi. Ruszyłam więc ku furtce. Biegłam jak szalona, niemal na oślep, bo łyzy i spływająca z podrapanego czoła krew rozmazywały mi obraz. Słyszałam swój szybki przerywany oddech i głośno walące serce. Śnieg rytmicznie

trzeszczał pod butami, za plecami zaś łagodnie szeleścił pod naporem lekkich, zwinnych łapek, które mnie goniły. Nie obejrzałam się. Wybiegłam na pustą ulicę i z sercem w gardle pędziłam przed siebie, wiedząc, że z tej drogi nie ma powrotu.

W końcu dotarłam tu, gdzie jestem, z małymi postojami u milicji, doktora i dalekiej rodziny, za ubogiej, by się mną zająć. Tygodniami wysłuchiwałam fałszywych domysłów o załamany ojcu, który rozpił się po śmierci żony i zamarzył na schodach własnego domu. „Biedny człowiek! Biedna dziewczynka! Znalazła jego okaleczone ciało i wpadła w furję, którą wyładowała na Bogu ducha winnych zwierzętach. Biedne koty! Głodując, dobrały się do martwego ciała, a potem broniły się przed uzbrojonym w szypę dzieckiem”. Na myśl o tych kłamstwach ze złości pieką mnie policzki. Nikt mi nie wierzył, więc teraz spisałam prawdziwą historię. To koty go zabiły. Zaatakowały go, gdy jeszcze żył. Odebrały mi rodzinę, niszcząc każdego z nas jeden po drugim. To one są wszystkiemu winne! Kiedy to zapisuję, w piersi wali mi serce. Litery na kartce rozmazują się. Jestem taka zmęczona. Dochodzi trzecia. Widzę to po księżycu, który zawieszony wysoko zagląda do okna. Wichura przeszła i zrobiło się cicho. Z ogrodu znów dobiega mściwe miauczenie. Słyszę je wyraźnie mimo krwi szybciej krążącej mi w żyłach i szumu w głowie. Uwiera mnie poduszka. Schowałam w niej nóż, którym kroimy chleb na śniadanie. Mam nadzieję, że jest wystarczająco ostry, by przywrócić spokój w moim sercu. Dotykam blizn na twarzy, szyi i dłoniach, wspominając, jaka piękna była mama. Ja nigdy taka się nie stanę. Już nie. Podjęłam decyzję, choć to one mnie do niej zmusiły. A teraz za daleko doszłam, żeby zawrócić. Czekają na mnie. Tym razem nie ucieknę. Tej nocy to ja na nie zapoluję...



HOTEL LA MORIR

Miłosz Piotrowski

Spocony mężczyzna z podkrążonymi oczami kurczowo trzymał kierownicę, jego chwyt był niepewny, a samochód wiercił się po jezdni, co chwilę wykraczając poza przeznaczony dla niego pas ruchu. Mężczyzna zerkał to na leżącą na fotelu pasażera kopertę, to na pobocze, wypatrując patrolu policji, który mógłby zatrzymać go za brak prawa jazdy. Na szczęście dla niego ulice były puste i mimo tego, że było to prawie centrum miasta, nikt nie zwracał uwagi na jego nieudolnie poruszający się pojazd. Na zewnątrz pogoda była nijaka, słońce toczyło mozolną batalię z chmurami o dominację na niebie. Jednak żadna ze stron nie przeważała, wszystko wokół zdawało się być mdłe i stłamszone przez bezbarwną aurę.

W końcu na horyzoncie pojawił się ogromny budynek górujący nad resztą aglomeracji, był gargantuiczny i bryłowaty. Łączył w sobie nowoczesny i barokowy styl, jakby ktoś włożył do miksera dwie budowle i postawił na środku miasta wynik tego eksperymentu. Mężczyzna wiedział, że musi się tam dostać i że musi zrobić to najszybciej jak

się da. Przycisnął pedał gazu. Silnik zawarczał. Po chwili był już na podziemnym parkingu. Betonowy labirynt zdawał się nie mieć końca, mężczyzna zaparkował na pierwszym napotkanym wolnym miejscu i wyskoczył ze swojego pojazdu jak oparzony. Zajrzał do koperty. W środku było zaproszenie do Hotelu La Morir oraz klucz od pokoju 447. Był sam, pustka stała się namacalna i wypełniała każdy zakamarek ciągnącego się w nieskończoność, niedoświetlonego parkingu. Wpadł do pobliskiej klatki schodowej, coś ciągnęło go na górę.

Gdy tylko przeczytał tekst zaproszenia, wybiegł z domu, wziął samochód wujka i mimo że nie potrafił dobrze prowadzić, ruszył pod wyznaczony adres. Jakaś metafizyczna siła kazała mu się nie zatrzymywać, dopóki nie dotrze do celu.

Na parterze przywitała go uśmiechnięta recepcjonistka, miała na sobie żółty fartuch i krótką niebieską spódniczkę, szczyrzyła się od ucha do ucha i wpatrywała się w przybysza. Na całym piętrze grała wesoła, choć kakofoniczna muzyka, kojarząca się z centrami handlowymi.

– Witamy w Hotelu La Morir, oto pakiet naszych usług oraz mały upominek powitalny. Rozumiem, że przybył pan na zaproszenie – powiedziała niemal śpiewająco.

– Tak – odpowiedział zdyszany mężczyzna, odbierając schludnie zaprojektowaną kartę z usługami oraz różowego, lukrowanego pączka z posypką.

Korytarz, na którym się znajdował, był monumentalny i zaprojektowany w staroświeckim stylu. Miał przed sobą na oko stumetrowy tunel, w ścianach nie było drzwi, na końcu jawiła się otwarta na oścież winda, a w niej uśmiechnięty karzeł w czerwonym garniturze z gładko ogoloną głową. Mężczyzna ruszył w jej kierunku. Gdy był już w środku, karzeł popatrzył na niego z szerokim uśmiechem, a jego złote zęby zaświeciły w półmroku. Bez słowa nacisnął przycisk z numerem 37, wyciągając swoją krótką rękę najwyżej jak potrafił. Przez całą drogę patrzył na mężczyznę, który skulił się w kącie i przeczesał rękoma kieszenie swojego zdezelowanego płaszcza. Z jednej z nich wyciągnął papierosa i chciał go odpalić, jednak windziarz wyciągnął swoją kartę usług i pokazał mężczyźnie znak *Zakaz palenia*, który znajdował się zaraz przy pozycji *Czyszczenie galek ocznych*. Mężczyzna schował paczkę papierosów z powrotem do płaszcza i skrzywił się nienaturalnie, jakby coś go zabolalo.

– Jest pan spięty, powinien pan skorzystać z jednej z naszych usług relaksujących – powiedział karzeł piskliwym głosem.

Mężczyzna dopiero wtedy przyjrzał się ofercie. *Akupunktura mózgu, Duchowe otrzęsiny, Lukrowy krąg, Czesanie języka*. Żadna z tych enigmatycznych nazw nie brzmiała dla niego zachęcająco, jednak wtedy przeczytał napis drobnym druczkiem, który oznajmiał,

że korzystanie z usług jest obowiązkowe. W końcu po kilku chwilach przepelnionych chropowatą ciszą winda zatrzymała się. Przed mężczyzną objawił się kolejny długi korytarz. Tym razem w złożonych ścianach było więcej drzwi. Przywitała go szeroko uśmiechnięta blondynka w żółtym fartuchu i niebieskiej spódniczce. Wyglądała tak samo jak jej koleżanka z dołu. Mężczyzna przez chwilę przyglądał się jej i próbował wychwycić jakakolwiek różnice w ich wyglądzie, bez skutku.

– Proszę pokazać zaproszenie – powiedziała.

Mężczyzna wyciągnął lekko pogniecioną kopertę i wręczył ją kobiecie.

– Numer 447, ma pan wyjątkowe szczęście. Rzadko komuś trafia się takie szczęście. Szczęście jest główną walutą w naszym hotelu, a pan najwyraźniej ma dużo szczęścia – mówiła, a uśmiech ani na sekundę nie schodził jej z twarzy. – Wygląda pan ponuro, jeśli się pan nie poprawi, będziemy musieli pana wyprosić. Proszę ze mną – powiedziała i złapała mężczyznę za rękę.

Kobieta ciągnęła gościa ze sobą przez korytarz, nie patrząc na niego, a jego bezwładne kroki zdradzały lekką dezorientację.

– Podobno chciał pan zapalić papierosa. Proszę mi oddać swoją paczkę. Papierosy nie pomagają szczęściu.

Mężczyzna posłusznie oddał paczkę i szedł dalej. Mijali dziesiątki pokoi, z niektórych wylinali się szeroko uśmiechnięci goście, jednak gdy tylko zauważali nowego przybysza, pośpiesznie trzaskali drzwiami. Niektórzy rzucali mu także ostentacyjne spojrzenia pełne pogardy.

– Proszę się nimi nie przejmować, zawsze tak reagują na nowych gości, ale gwarantuję, że gdy będzie pan opuszczał Hotel La Morir, wszyscy będziemy jedną wielką, szczęśliwą rodziną – powiedziała uśmiechnięta recepcjonistka.

– Dlaczego wybraliście akurat mnie i to w takim momencie... Kiedy wszystko mi się w życiu waliło? – zapytał mężczyzna, który zdążył już uspokoić oddech, jednak na jego czole wciąż można było zauważyć ślady po wysiłku.

– Głuptasie, nie zadawaj takich pytań. Ciesz się chwilą! – powiedziała recepcjonistka, niemal śpiewając.

W końcu po kilku minutach dotarli pod drzwi oznaczone numerem 447. Mężczyzna odetchnął z ulgą, miał nadzieję na rychły odpoczynek. Czerwone drzwi kontrastowały ze złotym sklepieniem. Obok nich wisiał obraz, jednak nie przedstawiał zupełnie nic, był pusty, jakby ktoś wylał wiadro czarnej farby na płótno i umieścił je w najdroższej ramie, jaką znalazł. Po drodze mężczyzna zauważył jeszcze kilka podobnych dzieł. Recepcjonistka

wyciągnęła klucz z koperty i wpuściła gościa do środka. Wnętrze pokoju niczym nie przypominało korytarza, było ciasne, a ze ścian odłaziła kiczowata tapeta, jej grube plastry zwisały w geście rezygnacji, odkrywając gołe betonowe ściany. Mężczyzna na próżno rozglądał się za łóżkiem, w którym mógłby odpocząć. W środku znajdowało się tylko lice, drewniane krzesło i pusta wanna, dla odmiany wyglądająca całkiem schludnie. Oprócz tego nic, żadnych okien ani drzwi poza wejściowymi. Mężczyzna posłał recepcjonistce wymowne spojrzenie, jednak zdawała się go nie odczytywać.

– Proszę się rozgościć. Wkrótce ktoś pana odwiedzi – powiedziała i wyszła.

Mężczyzna usiadł na krześle i westchnął, gdy okazało się, że było dokładnie tak niewygodne, na jakie wyglądało. Wyciągnął kartę usług i w akcie desperacji zaczął przeglądać ją w poszukiwaniu whisky. Jednak wśród groteskowych pozycji nie odnalazł niczego, co mogłoby ukoić jego skołatane nerwy. Pomyślał, że przerwa od używek dobrze mu zrobi i przez chwilę próbował wygodnie usadowić się na swoim drewnianym tronie, na którym prawdopodobnie przyjdzie mu spędzić cały dzień.

Rozległo się pukanie do drzwi, jednak przybysz nie czekał na zaproszenie. Wysoka postać wkroczyła do środka posuwistym krokiem. Wraz z nią do pomieszczenia wparowała chmura zimnego, martwego powietrza o delikatnym zapachu zgnilizny. Mężczyzna dostał gęsiej skórki, jednak szybko doszedł do siebie.

– Nazywam się Doktor M i będę się tobą zajmował podczas twojego szczęśliwego pobytu – powiedział przybysz.

Doktor M przypominał topole, był bardzo chudy i trupio blady, a jego kwadratową czaszkę zdobiła bujna czupryna. Jego długie, kościste palce ścisnęły uchwyt teczki, którą po chwili postawił na ziemi.

– Widzę, że trafił nam się wyjątkowy ponurak. Słyszałem, że jesteś palaczem. Bardzo niedobrze... bardzo niedobrze... – mówił doktor, notując coś w czarnym notesie.

Doktor wyciągnął linijkę i zmierzył nos mężczyzny, po czym zaczął tarosić jego policzki pęsetą.

– Skąd w tobie tyle żalu? Masz wyjątkowe szczęście, że do nas trafiłeś. Kto wie, jakby to się skończyło bez naszej pomocy... – ciągnął dalej doktor M, wyciągając ze swojej teczki strzykawkę.

Mężczyzna nie reagował, w końcu doktor na pewno wiedział, co robi, przecież każdemu w hotelu zależało na jego szczęściu, a on bardzo chciałby być w końcu szczęśliwy, chociaż raz w życiu.

Doktor M wbił strzykawkę w szyję mężczyzny i pobrał z niej krew. Następnie tą samą pęsetą, którą przed sekundą tarosił policzki pacjenta, wyrwał mu najdłuższy włos z głowy i schował do foliowego woreczka.

– Rozbierz się – rozkazał władcym tonem doktor.

Mężczyzna wstał i zaczął ściągać ubrania. Uznał, że to jakieś rutynowe badania, przygotowujące go do przeżycia niesamowitej przygody. Pomyślał też, że zaraz przeniosą go do luksusowego apartamentu, jak przystało na tak prestiżowy hotel. Po chwili stał przed doktorem całkiem nagi, a ten przypatrywał mu się badawczym wzrokiem, kręcąc głową.

– Te używki naprawdę doprowadziły cię do ruiny. Brzydzę się takim postępowaniem. I jeszcze ta blizna na policzku... Ciężki przypadek... Ciężki przypadek – mamrotał doktor pod nosem.

Mężczyzna zawstydzził się, może rzeczywiście doktor miał rację, ostatnimi czasy naprawdę przesadzał. Od kiedy żona wyrzuciła go z domu, pił z wujkiem prawie dzień w dzień. Był zadowolony, że ktoś dostrzegł jego cierpienie i postanowił tak szlachetnie i bezinteresownie mu pomóc. Co prawda nie tego się spodziewał, przyjeżdżając do Hotelu La Morir, ale droga do szczęścia nie może być widocznie prosta i cukierkowa.

– No dobrze, mam już potrzebne informacje. Po naszej terapii wrócisz do domu odmieniony. Twoja rodzina na pewno będzie zadowolona, nie wspominając już o żonie.

Ta wzmianka o żonie przywołała w mężczyźnie serię nieprzyjemnych skojarzeń i sprawiła, że poczuł fizyczny ból w klatce piersiowej. Przez chwilę głowił się, skąd doktor wiedział o jego problemach małżeńskich, ale doszedł do wniosku, że musiał zrobić wcześniej swego rodzaju wywiad środowiskowy. Widocznie solidnie przykładał się do swoich obowiązków, pomyślał.

– A byłbym zapomniiał – powiedział doktor, wyciągając kartkę z kieszeni swojego kitla. – Wybierz coś sobie. – Po tych słowach wyszedł, trzaskając drzwiami.

Kartka, którą wręczył mężczyźnie, okazała się restauracyjnym menu. Mężczyzna ucieszył się, że w końcu czeka go odrobina obiecanej przyjemności. Nazwy dań zdawały mu się niezwykle smakowite, zdziwiło go to, że w przeciwieństwie do nazw usług serwowanych przez hotel były proste, niemetaforyczne i brzmiały swojsko. Miał wrażenie, jakby ktoś skompletował wszystkie jego ulubione potrawy i stworzył z nich restauracyjne menu. Ostatecznie wybrał kurczaka marengo, ponieważ żona zwykła przyrządzać mu go w każdą niedzielę. Mimo karcących słów doktora zdecydował się też na szklanekę najlepszej whisky. Jeden ostatni raz i z tym kończę, powiedział sobie w duchu.

Mężczyzna złożył zamówienie za pomocą aparatu telefonicznego wiszącego na korytarzu i w pośpiechu wrócił do pokoju. Miał wrażenie, że setki gałek ocznych obserwowały go przez wizjery w drzwiach. Podczas rozmowy przez telefon z recepcjonistką co chwilę słyszał zduszone chichoty dobiegające z pobliskich pokoi.

Mężczyzna ledwo zdążył usadowić się na drewnianym krześle, a już do pomieszczenia wparował karzeł w czerwonym garniturze, pchający elegancko nakryty stolik na kółkach. Na widok soczystego kurczaka marengo i pełnej szklanki whisky mężczyzna o mało się nie popłakał. Dokładnie tego potrzebował w tamtej chwili.

– Proszę delektować się swoim posiłkiem i radzę się nie śpieszyć, każda sekunda jest dla pana cenna – powiedział niskorosły kelner i opuścił pokój z szerokim uśmiechem na twarzy.

Mężczyzna nie miał ochoty nawet zastanawiać się nad znaczeniem tych słów, łapczywie chwycił grawerowaną szklankę i wysączył pokaźnego łyka whisky. Następnie zabrał się do konsumpcji kurczaka. Jego smak przypomniał mu wszystkie piękne chwile, które spędził wraz z żoną. Wspólne wypadki do kina, spacerunki po okolicznym lesie, wakacje nad morzem, podczas których się jej oświadczył. Łza spłynęła mu po policzku i wpadła do opróżnionej szklanki. Mężczyzna przeciągnął się na krześle i odsunął od siebie stolik z pustymi naczyniami. Brakowało mu jeszcze tylko jednej rzeczy. Dokładnie przetrzepał wszystkie kieszenie i w końcu znalazł złamanego papierosa, wsadził go do ust i odpalił. Pośpiesznie zaciągał się, by przypadkiem nie zostać przyłapanym przez pracowników hotelu. Przez chwilę poczuł się, jakby znów wrócił do szkoły i musiał popalać w ukryciu przed nauczycielami. Zgasił peta i schował go pod wanną, miał nadzieję, że nikt nie odkryje jego występku, jednak gęsta chmura dymu wciąż unosiła się nad jego głową i otulała lichy hotelowy żyrandol, sprawiając, że w pokoju było ponuro i mgliście. Mężczyzna odprawił swój rytuał i poczuł się spełniony na jakiś czas, postanowił odpocząć i już chciał położyć się w wannie, kiedy znów rozległo się pukanie do drzwi. Mężczyzna pomachał ręką w powietrzu, by odgonić kłęby dymu, jednak z marnym skutkiem. Podeszedł więc do drzwi i liczył na wyrozumiałość hotelowego personelu. Pociągnął za klamkę i jego oczom okazał się zadziwiający widok. Przez chwilę wydawało mu się, że ktoś postawił na korytarzu lustro, jednak postać, na którą patrzył, była zupełnie naga, mimo to nie uległo wątpliwości, że oto właśnie w progu jego pokoju stoi on sam lub jego idealna imitacja. Czuł się zagubiony, przyglądając się sobie z perspektywy trzeciej osoby. Mężczyzna przed nim stojący miał jego twarz, jednak nie było na niej blizny, jego ciało zdawało się być też bardziej zadbane, nie

szpeciły go odstające fałdy tłuszczu ani plamy wątrobowe na dłoniach. Jednak to, co najbardziej odróżniało tę dwójkę, to szeroki, niepłowiejący uśmiech na twarzy jednego z nich.

– Smakował ci ostatni posiłek? – zapytał uśmiechnięty mężczyzna, pogwizdując pod nosem.

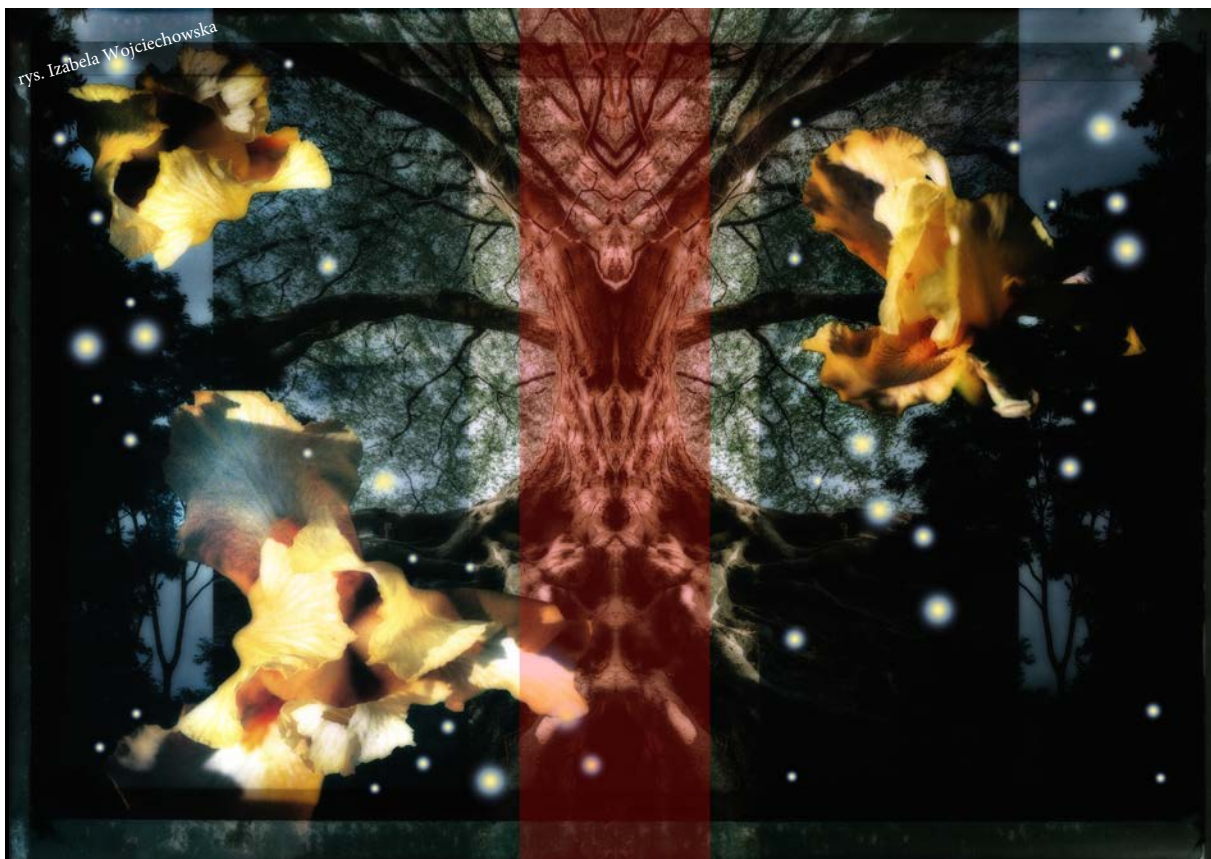
– Ostatni?

– Niestety dla ciebie jest już za późno na szczęście, jednak twoja rodzina wciąż ma szansę. Znów byłeś nieposłuszny, sam wiesz, że nigdy się nie zmienisz. Obiecuję ci, że twoja żona będzie ze mną szczęśliwa – powiedział uśmiechnięty mężczyzna, po czym płynnym ruchem podciął gardło swojemu pierwowzorowi za pomocą tępego myśliwskiego noża. Ludzka posoka trysnęła na wszystkie strony i mężczyzna upadł, trzymając się za krtań. Kałuża krwi rozlała się na podłozie, wsiąkając powoli w drewniane panele i barwiąc je na czerwono. Uśmiechnięty mężczyzna rozebrał denata, włożył go do wanny, a następnie przyodział jego ubrania, chwycił kopertę z zaproszeniem i wyszedł. Ludzie na korytarzu uśmiechali się do niego i kiwali z uznaniem głową. Karzeł w windzie nacisnął przycisk z napisem 0 i obaj wymienili się serdecznymi uśmiechami.

– Powodzenia – powiedziała recepcjonistka, kłaniając się na wyjściu.

Uśmiechnięty mężczyzna wszedł do samochodu, nucąc melodię z hotelu i ze spokojem odjechał w kierunku zachodzącego słońca ogrzewającego jego twarz. Poklepał dłonią kopertę leżącą na fotelu pasażera.

– Wujek na pewno ucieszy się z zaproszenia – powiedział do siebie.



KRUK

Ewelina Sławek

Bo na ich skrzydle czarny cień...
A gdy to skrzydło załopoce
Truczna w duszę sływa zeń –
W duszę, co zna jej moce.

fragment *Szczęśliwych dni, szczęśliwych chwil*, E.A. Poe, tł. W. Lewik

Silny powiew wiatru przewrócił stary czerwony rower, który stał dotąd oparty o rozpadający się płot. Opony i wraki samochodów zajmowały niemal całą posesję. Zza drzwi rozpadającej się rudery wybiegł nagle dzieciak. Pędził w stronę pobliskiej rzeki. Wskoczył do wody i szybko przepłynął na drugi brzeg, a następnie wbiegł do lasu. To nie były zwykłe

drzewa, tak samo jak i dzieciak nie był zwyczajny. Dopelniająca się całość – dziwadło w dziwności, samotnik w samotności. Las skrył w sobie niejedne chwile makabry. Teraz miał być obietnicą szybkiej ucieczki. Ciemne, zapomniane przez Boga gęstwiny, których nie sposób było prawdziwie poznać, a trzeba było pokonać.

Przyklejone, wilgotne ubranie powodowało, że chłopak trzął się z zimna i wolniej stawiał kroki. Poruszał się mniej sprawnie, ale mimo to powinien dostać się do miasteczka przed zmrokiem. Był jednak pewien problem. Nieuczęszczana, zapomniana ścieżka przestała być po pewnym czasie łatwa do pokonywania. Dzieciak nie znał lasu zbyt dobrze. Nie miał kolegów, z którymi mógłby się bawić w chowanego i kryć między drzewami. Czasem tylko, stojąc samotnie przy rzece, wpatrywał się w ścianę lasu i nasłuchiwał dochodzących zeń odgłosów leśnego życia. Wyobrażał sobie wtedy, jak staje się częścią natury i poddaje się zachodzącym w niej przemianom. Teraz chciał uwierzyć z całych sił, że rozumie ogrom potęgi starych drzew. Chciał odnaleźć wyjście.

Dawniej gdy uciekał, zawsze wybierał rower. Pędził na nim do najbliższego wzgórza, na którym mieszkała starsza kobieta. Przyjmowała go na trochę, zapewniając mu schronienie i ciepły posiłek. Dla umilenia czasu przy świetle kominka czytała mu swoje ulubione wiersze i powieści. Dzieciak mógł wówczas dzięki staruszce przeczekać najgorsze. Wracał później do znanego sobie świata, w którym zapanowywał chwilowy spokój. Jednak przed dwoma tygodniami staruszka zmarła, a jej dom stał pusty. Próżno więc szukać znów wybawienia w tych murach. Pozostawało uciekać do miasteczka.

Ścieżka zniknęła. Nie sposób było uświadczyc jakichkolwiek śladów obecności człowieka, a za to co jakiś czas rozlegało się ochryple, szorstkie krakanie kruków i wron. Jeszcze chwilę temu dzieciak widział inne zwierzęta, dzięki którym nie odczuwał samotności. Teraz wydawane przez ptaki dźwięki nie dodawały mu otuchy. Wręcz przeciwnie. Wtłaczały w jego wnętrze niezrozumiały niepokój, zalewając go całego i rozbudzając bulgoczący pod skórą strach, a raz zaproszone przerażenie jest jak nieposkromiony żywioł pochłaniający wszystko na swojej drodze. Dzieciak pod wpływem tego doznania stawał się bezbronny, a szanse na dotarcie do miasteczka przed zmrokiem malały. Umysł kierowany strachem doprowadzić może w najmroczniejsze regiony pozbawione nadziei. Chwilę temu przyjemny las zaczął przypominać zaciskające się na ciele szpony. Dzieciak poruszał się niepewnie, ale starał się robić to jak najszybciej. Od pierwszych lat życia został w nim zaprogramowany pęd ucieczki. Przypominał królika zrywającego się z miejsca na najcichszy dźwięk z otoczenia. Chłopak myślał czasem, że poza lękiem nie ma w sobie absolutnie nic innego, a w każdej

niemalże godzinie w jego wnętrzu wbijają się setki małych igieł. Igieł pobudzających do paniki, bolesnych i paraliżujących całe jestestwo.

Ubranie zaczęło powoli wysychać, dzięki czemu dzieciak trząsał się mniej. Zyskał także nieco większą jasność umysłu, dlatego udało mu się w końcu dostrzec, że mija po raz trzeci ten sam stary dąb. Przystanął na chwilę i zaczął dokładnie przyglądać się drzewu. Było potężne, przytłaczające swoim ogromem i roztaczaną aurą. Raz skierowawszy na nie spojrzenie, ciężko było oderwać oczy. Biło z tej rośliny coś niezemskiego. Coś, czego nie sposób precyzyjnie wyrazić przy pomocy epitetów wykorzystywanych przez dendrologię.

Pień drzewa był cały i mocny. Nie widać było na nim śladów zamierania i rozpadu. Grube konary i gałęzie wyglądały jak wyciągnięte ręce. Dzieciakowi przypomniła się książka, którą znalazł kiedyś w bibliotece sąsiadki podczas jednej ze swoich poprzednich ucieczek. W publikacji przedstawiono fotografie ze straceń więźniów w obozach zagłady. Na to wspomnienie ciarki przeszły mu po plecach, ale mimo tego nie ruszył się z miejsca, tylko dalej obserwował drzewo uważnie. Czuł bowiem, że jego świadomości umyka coś bardzo ważnego, coś, co powinien był dostrzec. Zaczął więc okrążyć drzewo powoli, wpatrując się intensywnie w każdy centymetr rośliny. Do niedawna słycać było krakanie. Ustał wiatr i zapanowała głucha cisza. Dzieciak słycał wyraźnie każdy swój krok, oddech, nerwowe przełknięcie śliny. Zaczął mieć wrażenie, że swoją osobą zakłóca spokój nie tyle w zwykłym lesie, co w zamkniętej, niedostępnej dla wiernych świątyni.

Chłopak ostatnim razem mury kościoła przekroczył w dniu pogrzebu sąsiadki. Nie był to przyjemny, pogodny dzień, ale zawierał w sobie spokój, pewną melancholię i ulgę, że starsza kobieta nie cierpi już z powodu swoich dolegliwości. Kościół stanowił wtedy schronienie, będąc jednocześnie pewnego rodzaju przejściem pomiędzy światami. Dzieciak nie czuł niepokoju, przebywając w jego wnętrzu. Jednak teraz ta mroczna, niedostępna pustelnia i zamieszkujące je leśne bóstwo nie zapewniały poczucia bezpieczeństwa. Powodowały w dzieciaku silne przerażenie, które mimo wszystko przewyższała nieuzasadniona, irracjonalna potrzeba, aby coś dostrzec i zrozumieć.

W pewnej chwili okazało się, że drzewo nie jest dumną, zamkniętą całością, bowiem z jednej jego strony znajdowała się sporych rozmiarów dziupla. Była ona na tyle duża, że dorosła osoba, kucając, mogłaby się w niej zmieścić, więc tym łatwiej poszłoby to dzieciakowi. Chłopak stanął przed otworem i wpatrywał się w mroki panujące we wnętrzu drzewa. Nie ruszając się, obserwował i czekał, sam nie wiedząc tak naprawdę na co.

Kra, kra, kra.

Na ten dźwięk dzieciak cały się zatrzęsł i wydał z siebie zduszony krzyk. Podniósł głowę i zobaczył na jednej z gałęzi wielkiego czarnego kruka. Ptak zdawał się wpatrywać mu prosto w oczy, wwiercać w najgłębsze zakamarki duszy i wysysać z wnętrza wszelką nadzieję. Pod wpływem tego doznania w umyśle dzieciaka pojawił się pewien obraz z przeszłości.

Starsza sąsiadka zasiadła na fotelu z książką w dłoni. Tamtego wieczoru był czas na utwory Poego. Kobieta zdawała się mieć pewną nieskrywaną słabość do tego autora. Chłopak miał więc szansę wysłuchać jednego z najciekawszych przejawów twórczości amerykańskiej. W trakcie wspólnej lektury jednego z wierszy dzieciaka zaciekała postać kruka. Chcąc zaspokoić ciekawość, zapytał staruszkę, czym tak naprawdę jest ten ptak i jak należy interpretować jego pojawienie się w utworze.

– Kruk przychodzi po dusze grzeszników – odparła cicho kobieta, nie odrywając wzroku od książki.

– A jeśli ktoś nie ma duszy? – spytał cicho. Na twarzy staruszki pojawił się wyraźny niepokój. Spojrzała chłopakowi prosto w oczy.

– Wtedy nikt po niego nie przychodzi. Zostaje za to wchłonięty.

– Wchłonięty? Ale przez kogo?

– Przez Nich. Po to, żeby już więcej nie powrócił. – Kobieta westchnęła cicho. – Pielęgnuj w sobie sumienie, dziecko. Nie zapraszaj do serca gniewu i żalu. Żałuj za całe zło, którego się dopuścisz i staraj się nie powielać błędów. Wtedy i tylko wtedy, będziesz mógł odejść spokojnie z krukiem.

Po tej wypowiedzi kobieta na powrót przybrała pogodną minę i poszła zaparzyć herbatę.

Była to jedna z tych szczególnych, niezapomnianych rozmów, które dzieciak odbył z sąsiadką. Wracał czasem myślami do tej chwili, ale nigdy nie odczuł tak mocno sensu wypowiedzianych słów jak tu i teraz, stojąc przed dębem.

Kruk siedział nieruchomo i nie odrywał spojrzenia od chłopaka. Z czarnych oczu zwierzęcia biły mądrość i całkowita przytomność. Pod wpływem świdrującego spojrzenia dzieciak wyrwał się z dziwnego transu, w którym tkwił. Potrzeba szukania czegokolwiek zniknęła całkowicie, a zamiast niej w ciele chłopaka rozlał się paniczny strach. Dzieciak rzucił się czym prędzej do ucieczki w kierunku miasteczka. Nie był mimo wszystko aż tak poddany emocjom, żeby odruchowo udać się do miejsca, w którym przyszło mu żyć, tym bardziej że do pierwszych zabudowań nie pozostało już wiele drogi. Biegł więc co sił w nogach, nie oglądając się ani razu za siebie. Czuł, że tylko w ten sposób uda mu się ująć

z życiem. Myśl przedziwna, której pochodzenia nie sposób było dojść racjonalnie, ale równocześnie nie było sensu się jej wypierać.

Po pewnym czasie oczom dzieciaka ukazał się średnich rozmiarów ceglany dom, za którym dostrzec można było kolejne budynki. Miasteczko było więc na wyciągnięcie ręki. Dzieciak, nie zwalniając tempa, przeskoczył przez ogrodzenie i zapukał do drzwi. Skakał nerwowo z nogi na nogę. Próbował się uspokoić, czując jednocześnie, że nie uda mu się to, dopóki nie znajdzie się we wnętrzu bezpiecznych murów. Po kilku chwilach czekania drzwi zostały otwarte, a przed twarzą dzieciaka pojawił się znajomy mężczyzna. Był to nauczyciel historii. Dzieciak wsunął się pospiesznie do domu i poczuł, jak jego ciało zalewa fala ulgi. Jeszcze przez pewien czas nie mógł nic powiedzieć. Siedział w milczeniu i próbował zrozumieć, co tak naprawdę wydarzyło się w lesie. Owszem, był płochliwą osobą, a w jego życiu nie brakowało sytuacji faktycznego zagrożenia życia, ale nawet to nie wyjaśniało doznania, które wywołał w nim widok drzewa i siedzącego na nim kruka. Zdarzenie wydawało się być ponadrzeczywiste, a wręcz nadnaturalne. Dzieciak postanowił, że nie wyjawi nauczycielowi, czego doświadczył chwilę temu. Opowiedział za to standardową historię o ucieczce z domu, nie wdając się w szczegóły. Podziękował cicho za schronienie i zasnął niemalże od razu, wyczerpany po dniu pełnym przeżyć.

Na drzewie zawieszona była nowa i solidna huśtawka. Niedaleko niej, po prawej stronie, stał składany stolik, na którym matka postawiła butelkę z mlekiem, szklanki i jeszcze ciepłe maślane ciasteczka. Na twarzy dziecka tańczyły wesoło promienie słońca, wprawiając chłopczyka w śmiech. Wtórował mu delikatny kobiecy głos, przywodzący na myśl anielskie śpiewy. Długie blond włosy cesał subtelnie wiatr, a wokół miękkiego koca, na którym siedziała kobieta, lśniła w świetle świeżo skoszona trawa.

– Kochanie, jak długo jeszcze będziesz kazał nam czekać? Mały się niecierpliwi. Wpatruje się ciągle w huśtawkę i wyciąga do niej ręce – zawołała w stronę domu kobieta. Odpowiedziała jej cisza.

Matka głaskała synka z czułością po główce, nucąc spokojnie piosenkę, którą jej samej śpiewano w dzieciństwie. Trącała nosem burzę loków, wdychając z radością zapach największego daru, jakim została kiedykolwiek obdarzona. Dziecko to było owocem miłości, wyczekiwanych i upragnionych. Kobieta myślała, że jej serce nie byłoby w stanie pomieścić w sobie więcej szczęścia w jednym momencie. Czuła, że osiągnęła absolutną pełnię.

Z rozmarzenia wyrwało ją gwałtowne trzaśnięcie drzwiami. Zaalarmowana skierowała wzrok w stronę źródła dźwięku. Zobaczyła, jak w jej stronę zbliża się mąż.

– Czy coś się stało, najdroższy? – zapytała przestraszona kobieta, wciąż tuląc synka do piersi. Mężczyzna, którego kochała i darzyła całkowitym zaufaniem, wyglądał jakoś inaczej. Oddychał dziwnie nerwowo, stawiając kroki w taki sposób, jakby chciał wbić się stopami w ziemię. Nie odezwał się jak na razie nawet jednym słowem, co było zupełnie osobliwe. Jednak to nie milczenie było najbardziej niepokojące, lecz wzrok człowieka szalonego, wręcz opętanego przez szatańskie siły. Kobieta nigdy wcześniej nie widziała, żeby ojciec jej dziecka patrzył na kogokolwiek w ten sposób, a tym bardziej na nią. Czuła się zagubiona, i ku własnemu zdziwieniu, przerażona. Mężczyzna zatrzymał się niespodziewanie niedaleko koca i przemówił upiornym głosem.

– Od jak dawna?

– Słucham?

– Pytam: od jak dawna?

– Od jak dawna co?

– Od jak dawna to trwa?! – zawył mężczyzna.

– Ale co takiego? – wyszeptała przerażona kobieta. Po tych słowach wyraz twarzy jej męża stał się jeszcze bardziej mroczny.

– Ostrzegam. Mów. Mów dla własnego dobra i dla dobra dziecka, które trzymasz przy sercu. Masz mi natychmiast wyznać wszystko jak na spowiedzi. Od początku do końca. Bez niedomówień, półsłówek, jąkania. Masz zdradzić imię, wszystkie miejsca, każdą sztukę odzieży, którą miałaś na sobie. Liczbę spotkań. Nazwiska tych, którzy wiedzieli. Sumę, którą przekupiłaś księdza, żeby dopuścił cię do chrztu syna. A przede wszystkim powiedz mi: czemu? – grzmiał mąż.

Kobieta nerwowo przełknęła ślinę, próbując zrozumieć, co się dzieje i co znaczą wszystkie słowa, które do niej w tej chwili kierowano. Jednak żaden, choćby nawet największy wysiłek, zdawał się nie pomagać. Miała w głowie kompletną pustkę, zatem tkwiła w niemocy, żeby pojąć w tej chwili cokolwiek. Nie wiedziała sama, skąd wziął się ten strach, żeby zabrać głos. Nigdy wcześniej nie czuła czegoś takiego. Coś w jej wnętrzu mówiło, że powinna teraz bardzo ostrożnie ważyć słowa. Nabrała powietrza do płuc, zdjęła synka z kolan i posadziła go na kocu, po czym wstała i stanęła oko w oko z mężczyzną, który w tej chwili bardziej przypominał rozjuszoną bestię niż człowieka.

– Zapewniam cię, że nie wiem, o czym w tej chwili mówisz. Dodatkowo nie podoba mi się twój ton głosu. Straszysz małego – powiedziała jak najspokojniej umiała, uważając przy tym, aby nie zdrzął jej głos. – Jeśli mam być szczerą, to i mnie przeraża twoje obecne zachowanie. Co się stało, że tak reagujesz?

– Co się stało? – powtórzył mąż, po czym roześmiał się szaleńczo. – Ty się mnie pytasz, co się stało? Jesteś moją żoną, zgadza się? Wyprowadź mnie z błędu, jeśli jest inaczej, bo poślubiłem kobietę, a nie sukę.

– Co takiego? – Strach nagromadzony w sercu kobiety zamienił się nagle w smutek i niedowierzanie, że mąż mógł posądzić ją o romans. – Czy ty insynuujesz, że cię zdradziłam? Jak możesz tak mówić?

– Suko, bo nie jestem w stanie nazywać cię inaczej, czy ty masz w ogóle choć mialkie pojęcie o tym, co zrobiłaś i co ściągnęłaś na tę rodzinę?

– Nie mów tak do mnie. Nie zasłużyłam sobie ani na twój gniew, ani tym bardziej na takie wyzwisko. Uspokójmy się i porozmawiajmy. Daj mi tylko chwilę, żebym mogła położyć małego spać i zaraz do ciebie wrócę. Myślę, że dobrze nam zrobi rozmowa na świeżym powietrzu – zaproponowała kobieta, siląc się na opanowanie. Zaczęła już sięgać po dziecko, aż nagle poczuła, jak silne ręce zaciskają jej się na tali.

– Co ty wyprawiasz?! Sprawiasz mi ból! Puść mnie natychmiast! – krzyczała, próbując się wyrwać z uścisku.

– Nie będzie więcej rozmowy. Nie będzie więcej usypiania dziecka. Pokuśtasz się za to. Będzie ci tak samo wesoło i przyjemnie jak wtedy, gdy huśtałaś na lewo i prawo szacunkiem do mnie jako swojego męża, depcząc miłość, którą do ciebie miałem – mówił lodowato mąż, popychając kobietę i szarpiąc ją. Sam nie wiedział, że ma tak dużo siły. Rzucił żonę na huśtawkę z taką łatwością, jakby była szmacianą lalką. Całemu zajściu towarzyszył spazmatyczny płacz dziecka.

– Błagam cię! Przestań! On się boi! Twój syn się boi!

– On nie ma czego. Ty się lepiej bój, upadła grzesznico. – Z ostatnim słowem splunął niemalże na twarz kobiety. Stanął szybko za jej plecami i zaczął mocno popychać huśtawkę. – Zobaczmy, jak ci będzie przyjemnie. Doznasz prawdziwej przygody. Najprawdziwszej.

Mężczyzna chwycił żonę lewą ręką za nadgarstek, a prawą usiłował zerwać huśtawkę z drzewa. Po pewnym czasie jego zabiegi opłaciły się, bo gałąź, do której przymocowane były łańcuchy, złamała się.

– Przestań, błagam cię! Opamiętaj się! Nie wiesz, co robisz! – krzyczała, dławiąc się łzami, kobieta.

Mężczyzna chwycił łańcuch i oplótł go żonie na szyi. Kobieta usiłowała się uwolnić, jednak było to zupełnie bezowocne. Mężczyzna zdawał się być niewzruszony na nic.

– A teraz powiem ci dobranoc. Dobranoc pięknie, ostatecznie. Zobaczysz wkrótce swoją matkę. W piekle wam będzie najbezpieczniej – zrymował mąż. – Pamiętaj, jak lubiałaś

te moje rymowanki? Daję ci ją. Daję ci prezent. Zobacz, jaki jestem dobry. Ty mi zadałaś ranę prosto w serce, a ja ci w podzięce daję sztukę. Widzisz, jak bardzo się pomyliłaś, traktując mnie tak, jak to zrobiłaś?

Łańcuch zaciskał się coraz mocniej, dotkliwiej raniąc kobietę i pozbawiając ją skutecznie dostępu do tlenu. Stopniowo szamotała się coraz mniej, aż w końcu kompletnie przestała. Czując brak jakiegokolwiek oporu, mężczyzna wypuścił z rąk ciało i łańcuch. Rozejrzał się dookoła. Dotarło do niego, że tuż obok rozlega się przeraźliwy płacz dziecka.

– Cii, synku. Spokojnie. Mama idzie na spacer do lasu. Ja niedługo do ciebie wrócę. Poczekasz tu na mnie cichutko, prawda, mój królewiczu? Tata zaraz wróci. – Po tych słowach ojciec przerzucił ciało przez ramię i ruszył w stronę rzeki. Ostatnim, co dostrzegły oczy dziecka, były znikające w oddali, złociste włosy.

Kra, kra, kra.

Dzieciak obudził się przerażony na ten dźwięk, który zdawał się dochodzić z jego własnej głowy. Rozejrzał się po pomieszczeniu, w którym przebywał. Był to salon historyka. Chłopak odetchnął z ulgą i uspokoił się nieco. Jednak spokój zniknął równie szybko, jak się pojawił. Obrazy ze snu stanęły przed oczami jak żywe. Dzieciak uświadomił coś sobie. Nie była to nocna mara. To było wspomnienie.

Po śniadaniu postanowił, że wróci dłuższą drogą, aby ominąć w ten sposób las. Szedł powoli i myślał o ojcu. Całe życie bał się i uciekał przed tym człowiekiem, ale czy był w stanie go nienawidzić? Czy śmierć matki faktycznie przebiegła w tak okrutny sposób? Jeśli tak, to dlaczego nikt nie ukarał sprawcy? Dzieciak sądził dotąd, że matka zmarła w wyniku choroby. Czy mógł pozwolić, aby morderca żył dalej spokojnie?

Marsz zajął mu znacznie dłużej niż zwykle. Zbliżył się do drzwi wejściowych i szarpnął za klamkę. Wsunął głowę i zaczął nasłuchiwać. Odpowiedziała mu dziwna cisza. Z wnętrza powinno teraz dochodzić chrapanie albo przynajmniej głos prezentera telewizyjnego. Dzieciak wszedł do środka i przeszedł przez wszystkie pomieszczenia. W kuchni pełno było pustych butelek, ale po ojcu ani śladu. Chłopak zastanawiał się, gdzie też mógł pójść człowiek, który od lat nie wychodził z domu. Sklep? Nie. Bar? Zamknięty od dawna. Kościół? Niemożliwe. A las?

Dzieciak wyszedł przed dom i spojrzał na ścianę lasu. Był przekonany, że coś czeka na niego w mrocznym labiryncie roślin. Odczuwał strach, ale także determinację. Zawrócił do kuchni, wyjął z szuflady nóż i wsadził go sobie za pasek od spodni, a następnie skierował się w stronę rzeki. Nie zamierzał być już dłużej bezbronny. Obiecał sobie, że więcej nie będzie uciekał.

W lesie początkowo słyhać było śpiew ptaków, który tak jak wczoraj ustał po pewnym czasie. Zastąpiła go głucha cisza. Chłopak rozglądał się na boki, próbując dostrzec gdzieś ojca. Jak na razie nie było nigdzie widać mężczyzny.

Kra, kra, kra.

Dzieciaka nie zdziwił ten dźwięk. Wiedział, że spotka kruka ponownie. Zwierzę siedziało na gałęzi jednego z drzew i patrzyło w ten sam przeszywający sposób.

– Powiedz, czy ja go zabiję? Jesteś tu po jego duszę? – zapytał cicho dzieciak. Kruk nie poruszył się z miejsca. – Nie chcę tego robić. Nie chcę, ale jeśli mnie do tego zmusi...

Chłopak zamknął na chwilę oczy i nabrał powietrza do płuc. Nie patrząc dłużej na ptaka, ruszył przed siebie. Czekąco go jeszcze spotkanie z dębem. Dzieciak czuł, jakby coś prowadziło go do leśnej świątyni. Miał wrażenie, że dotarłby w odpowiednie miejsce nawet z zamkniętymi oczami. Po pewnym czasie znalazł się tam, gdzie odczuł zeszłego wieczoru paralizujący strach. Chłopak rozejrzał się po okolicy, a następnie skierował wzrok na dąb. Roślina wyglądała tak samo jak ostatnio, roztaczając wokół siebie upiorną aurę. Dzieciak usłyszał, kiedy podążający za nim kruk usiadł na gałęzi pobliskiego drzewa. Po towarzyszącym temu zdarzeniu krakaniu dało się słyszeć inny dźwięk – gwizdanie, tak dobrze znane chłopakowi.

– Jesteś, synu – przemówiła postać, która chwilę temu pozostawała skryta w cieniu drzew. – Szukałem cię. Gdzie byłeś?

Ojciec był trzeźwy. Patrzył na dzieciaka całkowicie przytomnym wzrokiem, a spokój, z jakim to robił, był niespotykany, wręcz niepokojący. Dzieciak przypomniał sobie natychmiast, że za paskiem od spodni ma nóż. Odruchowo dotknął narzędzia, żeby upewnić się, że nie zgubił go po drodze, a mogłoby go to drogo kosztować. Bezbronność musi mieć swój koniec.

– Niedaleko. Spałem u kolegi ze szkoły – powiedział chłopak, siląc się na opanowany ton głosu.

– Synu, ty nie masz kolegi. Nie masz nikogo. Wiesz, że nie toleruję kłamstw.

– Wiem, ojczu. Nie kłamię. Mam kolegę. – Chłopak pozorował spokój, podczas gdy w środku czuł, że niedługo może popuścić, bowiem twarz stojącego przed nim mężczyzny zaczęła przyjmować upiorny wyraz.

– Niewątpliwie jesteś jej synem. Kłamliwa suka, to i kłamliwe szczenię. – Mówiąc to, ojciec przybliżył się do dzieciaka o dwa kroki. – Próbowałem wydrzeć z ciebie to plugawe ziarno kłamstwa, żeby zrobić z ciebie człowieka. Staralem się, próbowałem, zajmowałem się tobą należycie. Miałeś szansę, synu. Teraz ją tracisz przez pochopne postępowanie.

– Ojczy, proszę. Wróćmy do domu.

– Wróćę. Niedługo.

Kra, kra, kra.

Dźwięk, który wydobył się z gardła ptaka, przypominał bardziej przeraźliwy jęk. Dzieciak skierował wzrok w jego stronę. Przeszła mu przez głowę myśl, że może zaraz nadejdzie moment, w którym zwierzę zabierze duszę ojca, po tym jak dzieciak splami swoje dłonie krwią. Jednak kruk kierował swój wzrok nie na ojca, ale bezpośrednio na chłopaka, jakby to jego dusza była na szali.

Ojciec podszedł jeszcze bliżej, ale tym razem dzieciak cofnął się na kilka kroków. Wyjął po chwili nóż zza paska i chwycił go mocno w dłoni. Chłopak powtarzał w myślach jak mantrę, że już więcej nie będzie bezbronny. Przekonywał sam siebie, że nie podzieli losu matki.

– Taki jesteś odważny i silny, że zamierzasz się na ojca?! Nie jesteś szczeniakiem! Jesteś pomiotem! – zawył mężczyzna toczony szaleństwem.

Dzieciak zaczął się trząść. Poczul, że bardziej niż ojciec przeraża go perspektywa, że zabiłby kogoś. W pamięci dudniły mu słowa staruszki: „Pielęgnuj w sobie sumienie, dziecko. Nie zapraszaj do serca gniewu i żalu. Żałuj za całe zło, którego się dopuścisz, i staraj się nie powielać błędów. Wtedy i tylko wtedy będziesz mógł odejść spokojnie z krukiem”.

Lecz co teraz? Jeśli nie stanie się mordercą, to najpewniej nie uda mu się ująć z życiem. Ucieczka nie wchodziła w grę, kiedy ojciec był trzeźwy. Ten człowiek pomimo swojego nałogu pozostawał w bardzo dobrej kondycji fizycznej. Nie sposób było go prześcignąć.

Szur, szur, szur.

Z wnętrza dębu zaczął dochodzić dziwny dźwięk, który przypominał drapanie. Było ono początkowo ciche, jednak z czasem zaczęło przybierać na sile. Stało się na tyle głośne, że ojciec odwrócił głowę, próbując zlokalizować źródło dźwięku. Szuranie trwało jeszcze chwilę, po czym ustało. Zamiast niego dało się słyszeć upiorne jęczenie. Musiało pochodzić z ciemnej dziupli, toteż oboje, ojciec i syn, nie spuszczaali z niej wzroku.

Najpierw pojawiła się złocistość. Delikatna, falująca, ale jakby wyblakła. Nie miała w sobie tego żywotnego odcienia przypominającego promienie słońca. Następnie ujawniła się biel skóry i szarość strzępów materiału. To była ona. Ta sama, ale jednak odległa. Spojrzenie miała pozbawione wyrazu. Trudno było odgadnąć, czy cokolwiek widziała. Stało się jednak jasne, że w istocie widzi, kiedy skierowała wzrok na męża. Nie mówiła nic, tylko powoli stawiała kroki. Z nosa i uszu wyciekała jej czarna maź. Z ust zaś dochodził jęk.

Chłopak nie mógł uwierzyć własnym oczom. Oto właśnie stała przed nim jego matka. Matka, która została brutalnie zamordowana przez człowieka, po którym najmniej spodziewałaby się, że zada jej jakikolwiek ból. Zbliżała się powoli do swojego mordercy, sparaliżowanego strachem przez to nadnaturalne spotkanie.

– Jak to możliwe? – wyjąkał mąż. – Jak to jest na Boga możliwe?

Odpowiedział mu głośniejszy jęk. Mężczyzna nie ruszał się z miejsca. Całkowicie stracił zainteresowanie synem. Patrzył na zmierzającą ku nim postać i nie wierzył własnym oczom. Nie próbował początkowo wykonywać żadnych ruchów, jednak kiedy trup znalazł się od niego w odległości około dwóch metrów, podniósł z ziemi sporych rozmiarów kamień.

– Nie podchodź! Wracaj do piekieł! Masz się do mnie nie zbliżać!

Dzieciak dostrzegł coś, czego jego ojciec nie widział. Z dziupli wyszło coś jeszcze. Coś, co w niczym nie przypominało człowieka. Coś, o czym nie można było powiedzieć wiele więcej, niż że było bezkształtne, czarne i na wskroś złe. Stopniowo zaczęło przybliżać się do ojca, coraz bardziej i bardziej powiększając się i emanując mocniej demonicznością. Mężczyzna zaciskał dłoń na kamieniu i wykrzykiwał obelgi pod adresem stojącego przed nim trupa. Nie zauważył, jak coś nagle chwyta go za nogi, unosi i wciąga w ułamkach sekund w mrok drzewa. Ustały krzyki i zapanowała cisza.

Dzieciak przeniósł wzrok na matkę. Zobaczył, jak przygląda mu się nieruchomo. Oboje stali tak przez pewien czas w milczeniu, które przerwał cichy jęk kobiety. Po nim odwróciła się i weszła do dziupli. Nagle drzewo zrosło się, a po dziurze nie pozostał nawet ślad. Chłopak stał otępiały, aż nie poczuł na policzkach wilgoci. Łzy spływały jedna po drugiej.

Kra, kra, kra.

Udało się. Nie zabił ojca. Po mordercę nie przyszedł kruk. Przyszli Oni. Przyszli i zniknęli. Dzieciak, spoglądając jeszcze przez moment na drzewo, przysięgł sobie, że przeżyje swoje życie w taki sposób, aby móc odejść z krukiem. Po tej przysiędze odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę miasteczka.

KIDS of EVIL

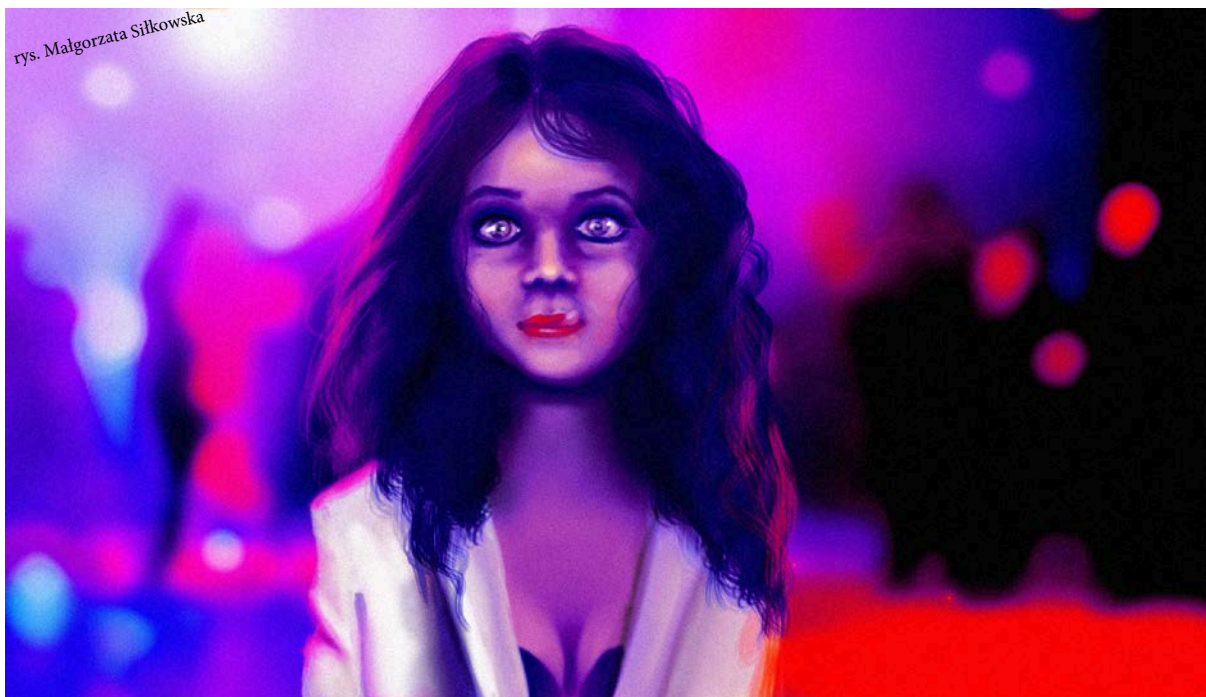
MIEJSCE DLA MIŁOŚNIKÓW RETRO POPKULTURY
KLASYKA NIE UMIERA NIGDY



[FACEBOOK.COM/KIDSOFEVIL](https://www.facebook.com/kidsofevil) [INSTAGRAM.COM/KIDSOFEVIL](https://www.instagram.com/kidsofevil) [YOUTUBE.COM/KIDSOFEVIL](https://www.youtube.com/kidsofevil)

[WWW.KIDSOFEVIL.COM](http://www.kidsofevil.com)

rys. Małgorzata Silkowska



MINUTNIK

Beata "Powiało Chłodem" Mróz

01:59

Janek chciał spać dalej, ale pulsujący ból głowy i narastające parcie na pęcherz mu na to nie pozwalały. Przekręcił się na bok. Kapeć w ustach świadczył o tym, że wczoraj nieźle zabalował, a urywki wspomnień sugerowały epickość wieczoru. Pamiętał wypasiony klub, za drogie piwa, na szczęście fundowane przez jubilata, i taniec. Tak. Na pewno z kimś tańczył. Może z tą rudą laską, do której czaił się pół wieczoru? Taak. Pewnie tak. W sumie to mu się przyfarcilo.

Sięgnął przed siebie, do szafki - tam, gdzie powinien być telefon Istniała szansa, że cyknął jej kilka fotek. Jezu... Miał nadzieję, że nie okazał się skończonym idiotą i wziął od niej numer telefonu! Tylko jak ona się nazwała... Chciał złapać komórkę, ale w jej miejscu stała zimna szklanka. Co, kurwa?

Zerwał się gwałtownie z łóżka, ale zaraz tego pożałował. Ból i zawroty głowy usadziły go na miejscu. Kac morderca... Jego matka i siostra w życiu by go wodą nie poratowały. Stary? Taaa... Janek chyba jeszcze nie do końca wytrzeźwiał, skoro wpadały mu do głowy takie pomysły.

Drugie podejście przebiegło już delikatniej. Na obcym stoliku stała oszroniona szklanka wody z cytryną. Telefon leżał tuż obok. Niestety, kompletnie rozładowany.

– Nie jesteśmy już w Kansas Toto – mruknął do siebie i zaczął się rozglądać.

Pomieszczenie zdecydowanie nie przypominało tej zagraconej klitki, w której sypiał w domu – chyba tylko z przekory nazywanej pokojem. W niej nie było tak szeleszczącej srebrno-złotej pościeli ani odjechanego poddasza z drewnianymi balami podtrzymującymi strop i z wielkimi oknami w suficie. Księżyc dawał wystarczająco światła, by lampka się nie paliła. Chłopak nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zmieściłoby się tu całe em jego starych, a nie tylko to śmiesznie wielkie wyro, wyrwane chyba z jednego z ulubionych seriali matki. Poza tym postawienie tak znikomej liczby mebli – nawet jeśli jednym z nich jest królewskie łóżko – dla kogoś, kto wychował się na jakimś metrze kwadratowym przestrzeni osobistej, wydawało się totalnym marnotrawstwem. Ile rzeczy mógłby tu zmieścić?! Telewizor, peeskę, piłkarzyki...

– O kurwa! – wyrwało mu się, kiedy odkrył, że jest nagusieńki.

Czyżby z rudą doszło do czegoś więcej? Czy to u niej w końcu wylądował?

Głowa go bolała, a kac nie pomagał w myśleniu. Sięgnął po szklankę i upił kilka łyków. Woda miała cudowny, niemal słodki smak. Była tak orzeźwiająca, że nie mógł się powstrzymać i wypił wszystko do dna. Skoro ktoś tak się dla niego postarał, to chyba nie chciał go otruć czy coś... Prawda?

Wspomnienie dłoni błądzących po jego ciele zagłuszyło rodzący się niepokój. Poczłł specyficzny, ziołowy zapach, który wydzielala jego skóra. Do tego była ona tłusta, jakby pokryta warstwą tego oleistego badziewia, z takim upodobaniem używanego przez jego siostrę.

Ktoś wysmarował go całego. Wszędzie, gdzie się dało. Sprawdził dokładnie. Aż nazbyt dokładnie.

Czyżby stał się obiektem jakiegoś specyficznego fetyszu?

I jak mógł tego nie pamiętać?!

Wzruszył ramionami i przybił sobie mentalną piątkę. Był przekonany, że Jankonator działał tej nocy, choć niewiele z tego pamiętał. Zresztą, to i tak nie było ważne. Odpowiednio podrasowana, historia stanie się wkrótce legendą na dzielni. Miał tylko nadzieję, że na

telefonie faktycznie uchowały się jakieś zdjęcia, którymi zamknie gęby niedowiarkom, a w szczególności temu kutasowi Łysemu. Może, pod pretekstem kontaktu z bliskimi, wyprosiłby od laski ładowarkę? Wodą już go poratowała, to prądu by nie użyczyła? Przecież byli w jej hacjendzie...

Rozważania przerwał mu skurcz pęcherza. Mógł się jednak wstrzymać z tą wodą, przynajmniej dopóki nie strzeli z kija. Tylko gdzie w tym pałacu był kibel? Musiał się sprężyć, bo czuł, że długo już nie wytrzyma, a głupio byłoby zakończyć tak bardzo udany wypad tak epicką wtopą.

Rozejrzał się za swoim ubraniem. Nie chciał przecież natknąć się na starych dziewczyny bez choćby gatek na tyłku. Niestety, nigdzie nie było nawet skarpetki. W przyplwywie niecodziennej dla siebie kreatywności owinął się tym dziwnym, srebrno-złotym prześcieradłem i ruszył w stronę drzwi.

Po zrobieniu kilku kroków na lodowatych płytkach, którymi jakiś geniusz dekoracji wyłożył wnętrze tej pseudosypialni, zaklął z bólu. Coś metalowego wbiło mu się w stopę. Schylił się i podniósł z ziemi mały, błyszczący przedmiot. Była to zawieszka w kształcie gołębiczy i nawet nazywała się jakoś tak specyficznie. Czarny? Czakry? Czy jakoś tak. W domu pełno się tego walało, bo Gocha obwieszała się nimi jak choinka, „by personalizować swoją biżuterię”. Myśl o siostrze sprawiła, że trybiki pamięci ruszyły nieco sprawniej. I zaraz sparaliżowały go wspomnieniem.

Przecież byli na tej imprezie razem!

I miał się nią opiekować.

01:47

– Gocha wyłaż z tego kibla! – darł się, waląc pięścią w drzwi. – Siedzisz tam już dwie godziny! Lać mi się chce! – Dla podkreślenia słów walnął w drzwi jeszcze raz.

– Ciszej tam! – usłyszał głos matki. – Próbuję oglądać serial.

– Gocha! – wyjęczał. – Jak mam cię zabrać na imprezę, skoro sam na nią nie zdążę?

Nie wiedział, czy ją przekonał, czy w końcu przestała się pindrzyć, ale drzwi od łazienki otwały się z hukiem. Janek wzdrygnął się lekko. Zobaczył swoją chudą i kościstą twarz – tylko okoloną puklami jasnych włosów i tak obsypaną brokatem, jakby obrzygał ją jednorożec. Westchnął. Posiadanie siostry bliźniaczki momentami wcale nie było takie fajne.

– I co się tak gapisz? – Spojrzała na niego szyderczo. – Leć, bo się spóźnimy. – Wypracowanym gestem odrzuciła włosy na plecy.

Trzy bransoletki pełne kolorowych zawieszek zadzwoniły wyjątkowo donośnie, gdy mijała go w przejściu.

No tak. Na imprezie miał być TEN Marcin, więc Gocha postanowiła wyciągnąć ciężką artylerię. Fakt, jak facet nie oślepnie od tego blasku, zawsze będzie miała czym go ogłuszyć. Albo odurzyć, sądząc po ilości perfum, jakie na siebie wylała. Już miał rzucić jakimś dosadnym komentarzem, gdy nagle stary wyrósł za jego plecami.

– Chodź młody, na słówko – wycharczał głosem przepalonym przez tysiące paczek Marlboro.

– Kiedy ja właśnie chciałem... – Janek próbował się jakoś wykręcić.

– Na słówko. – Wielka dłoń wylądowała mu na ramieniu i prawie przygniotła do ziemi. Palce wpiły się w jego bark. – Proszę.

W oczach Janka pojawiły się łzy bólu. Ojciec pracował na budowie i wyrobił sobie krzepę „od lat zapierdalając z workami cementu”, więc każda jego „pieszczota” mogła się skończyć pogruchotanymi kośćmi. Narodziny dwójki szczyli, zamiast spodziewanego jednego, przyjął ze stoickim spokojem. Jednak gdy po latach okazało się, że syn raczej nie przekroczy wagi dobrze odżywionego koguta, a przy tym jest mocno niechętny do pracy fizycznej (do której i tak się nie nadawał), ojciec zaczął widzieć problemy. Co prawda Gocha wyglądała dokładnie tak samo, ale była dziewczyną. A dziewczynki, według starego, powinny być uroczyimi, drobnymi blondyneczkami, do chuchania, dmuchania i ratowania z opresji.

Skoro syn nie spełniał jego oczekiwań, stary zaczął zarzucać matce, że Janek nie jest jego dzieckiem, bo on by takiego chuchra spłodzić nie mógł. Stara pukała się wówczas w głowę, ubierała pociechy jednakowo i kazała ojcu wybierać, które jest jego. A że chłopaka od ukochanej córeczki odróżniał wówczas tylko w trakcie kąpieli, wybrać nie umiał. Co sprawiło, że jeszcze bardziej znenawidził syna.

Tyle dobrego, że Janek nie miał brata i urodził się parę minut przed Goską. Życie ratował mu prawdopodobnie fakt, że był jedynym męskim potomkiem i do tego pierworodnym. Stary miał jeszcze jakieś resztki sumienia, co jednak nie przeszkadzało mu skutecznie uprzykrzać Jankową egzystencję.

– Masz się nią opiekować, słyszysz?! – mówił cicho, tak, żeby stara nie podsłuchiwała, ale Janka i tak przechodziły dreszcze. Matki i Gochy ojciec nigdy nie uderzył, ale jemu samemu nieraz się obrywało za mniejsze lub większe przewinienia. Ot, łopatologiczne próby kształtowania krzepy i charakteru, rodem ze średniowiecza.

– Jeśli coś jej się stanie, możesz nie wracać do domu. – Wlepiał przekrwione oczy w coraz bledszego Janka. – I lepiej by było, żebyś cię wtedy nie znalazł. Zrozumiano?

– T-tak... – wyjęczał i, unikiem trenowanym przez lat dwadzieścia, skrył się w łazience.

Z niejaką ulgą stwierdził, że przepelniony pęcherz wytrzymał i nie zawiódł go w chwili próby, ale imprezę chłopak mógł już spisać na straty.

01:32

Na początku sprzyjało mu szczęście. Wyjście z sypialni prowadziło na korytarzyk, z którego dało się zejść schodami w dół. Janek od razu zauważył też drzwi – najbliższe, lekko uchylone, prowadziły do łazienki. Z ciekawości sprawdził dwoje kolejnych, ale okazały się zamknięte na klucz. Ucisk na pęcherz przypomniał jednak, że tajemniczość domostwa jest w tej chwili sprawą drugorzędną, więc w te pędy zawrócił do kibla.

Gdy już sobie ulżył, dosłownie nadział się na kolejną zawieszkę. Tak, znów stopą. Pożałował, że nie został choć w samych skarpetkach. Z drugiej strony, dzięki temu wpadł na trop Gochy, a bez niej nie mógł pojawić się w domu. Ojciec chyba by go zabił.

Tym razem ozdóbka miała kształt małego bucika na obcasie i Janek był pewny, że należała do jego siostry. Gołabek mógł być zbiegiem okoliczności, ale dobrze pamiętał, jak Gocha wyjątkowo głośno cieszyła się, gdy dostała ten pantofelek od ojca na urodziny. Nazwał ją swoją „małą księżniczką, Kopciuszkiem godnym księcia”. Janek aż zgrzytnął zębami.

– Oj, się ojczulek zdziwi, jak się dowie, że królowna mu się puściła – pomyślał. Bo przecież musiała kogoś wyrwać i trafić tu razem z nim, prawda? Z resztą Janek nie dopuszczał do siebie innej możliwości. Teraz wystarczyło ją znaleźć.

Ściskając w dłoni znalezione ozdoby, ostrożnie schodził po schodach, wyłożonych czarnymi płytkami. Zastanawiał się, co powie napotkanym domownikom, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy.

Mimowolnie zaczął się skradać. Miał nadzieję, że nikt nie weźmie go za złodzieja, który na akcję postanowił ubrać się w złoto-srebrną togę, ale nie potrafił iść swobodnie. Cisza panująca w domu wydała mu się nie do końca naturalna. Nikt nie pochrapywał, nie pojękiwał przez sen. Brakowało mu tej setki dźwięków, które wychowaniec bloków z wielkiej płyty znał aż za dobrze: wody dzwoniącej w rurach, wrzasków sąsiadów, ujadania psów... Zrzucił to jednak na karb późnej pory i luksusowych wnętrz, ale pozostał czujny. Wolałby nikogo nie

obudzić, tym bardziej że nie wiedział, jak właściciele zareagują na obcego wałęsającego się po ich domu. Świadomość, iż prawdopodobnie został zaproszony, wcale mu nie pomagała.

Na ostatnim stopniu prowadzącym na parter znalazł kolejną zawieszkę – małe, srebrne jabłuszko, pociągnięte czerwonym lakierem. Teraz był już pewny, że znajdzie tu Gochę. Trzy jej ulubione zawieszki nie mogły się tu znaleźć przez przypadek. Oderwał wzrok od podłogi i postanowił się rozejrzeć.

W pierwszej chwili poczuł się, jakby znalazł się w jakimś starym filmie. Wnętrze tonęło w odcieniach czerni, bieli i szarości. Miał wrażenie, że nagle padło mu na oczy, ale szybkie spojrzenie na ręce rozwiało wątpliwości. Przez wielkie okna widział granatową czerń nocy wlewającą się do wnętrza. Dopiero po chwili doszło do niego, że wszędzie powinno być znacznie ciemniej. Był pierdolony środek nocy, a on widział wszystko tak dobrze, jakby ktoś założył mu gogle noktowizyjne. Spojrzał jeszcze raz na swoją dłoń, żeby się upewnić. Skórę wciąż miał zaróżowioną, a czerwień jabłuszka nadal cieszyła oko. Odetchnął. Dopiero po chwili zrozumiał, że część dekoracji promieniuje własnym, słabym światłem, które jednak przy oślepiająco białych ścianach w zupełności wystarczało.

– Kto bogatemu zabroni – szepnął chyba tylko po to, żeby usłyszeć swój głos. Zamilkł jednak, zdławiony przez ciszę tym bardziej złowrogą, że zakłóconą.

Jakby nie dosyć było dziwów na tę noc, dom wydał mu się po prostu olbrzymi. I nie chodziło o sam metraż. Zwyczajnie nie było tu ścianek działowych, tylko jedna, wielka, otwarta przestrzeń, poprzedzielana meblami i kolumnami. Kto tak w ogóle budował? Poprzewracało się w dupach tym bogaczom i tyle! Kręcąc głową, wszedł głębiej i się rozejrzał. Dopiero po chwili dotarło do niego, że nawet gdyby chciał, nie bardzo miałby gdzie się ukryć.

Ale przecież nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo, prawda? Dom był bogaty i przesadnie zadbany. Wręcz sterylnie czysty. W niczym nie przypominał ruder z horrorów, tak uwielbianych przez jego kumpli. Choć tak po prawdzie, Janek z radością przyjąłby nawet najbardziej upiorne skrzywienie czy wycie wiatru w szczelinach. To pozwoliłoby mu poczuć, że dom nie jest taki... martwy.

Otrząsnął się ze złych myśli. Musiał przecież znaleźć Gochę.

Prosto ze schodów wchodziło się w ten nedorzeczny pokój dzienny, w którym, na szczęście dla przemarzniętych stóp chłopaka, znajdował się biały puchaty dywan. Tuż obok stała czarna skórzana kanapa, mogąca pomieścić chyba z piętnaście osób, i fotele dobrane pod jej kolor. Wszystko to zgromadzono wokół szklanego stolika z metalowymi okuciami. Dalej

stał stół z tuzinem krzeseł i kilka szafek z bibelotami, ale tak bezosobowymi, że bardziej kojarzyły mu się z wystawkami w Ikei niż gratami domowników.

– Zupełnie, jakby to wszystko było na pokaz – pomyślał.

Reszta pomieszczenia była pusta, ale paradoksalnie to ta pustka przygniatała go bardziej niż tłok w męskiej szatni. Znikąd pomocy. Donikąd ucieczki. Janek nie wiedział, czy winna była temu wszechobecna biel, stojąca jakby w kontraście do czarnych podłóg, czy niemal absolutny brak jakichkolwiek innych kolorów. Poczł jednak, że chce stamtąd uciec jak najszybciej. Źe nie znieśie dłużej tej ciszy, tej sterylności i obłądnego porządku. To nie było naturalne. Ludzie tak nie mieszkają.

Rzucił się do wielkich okien skrytych za zwiewnymi firankami. Szarpnął woal i odsłonił niemal jednolite tafle szkła. Źadnych klamek. Źadnych lufcików. Źadnych suwnic czy zawiasów, które mogłyby posłużyć do ich otwarcia. Tacy bogacze nie potrzebowali wietrzyć pomieszczeń. Wszystko załatwiała dyskretna klimatyzacja. Biegał od ściany do ściany, z nadzieją, że jednak się myli. Ale nie. Wszędzie witała go ta sama gładkość.

Zakręciło mu się w głowie. Nie mógł złapać oddechu. Człł, że musi wyjść na zewnątrz, bo inaczej się udusi, bo padnie trupem w tej właśnie chwili.

Już chciał chwycić za krzesło i przypuścić szarżę na jedno z okien, gdy poczul woń pieczystego wymieszaną z jakimś lekkim, słodkawym zapachem.

W domu ktoś coś pichcił.

Jego prowizoryczny strój nagle opadł na ziemię. Szok, wywołany nagością sytuacji, pozwolił mu ochłonać. Do tego ten zapach... Był taki... taki swojski. Taki normalny.

Janek uznał, że padło mu na rozum, skoro zaczął tak panikować. Na imprezie chyba nie tylko wypił, ale i przyćpał, bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że właśnie chciał komuś zdemolować mieszkanie? Diabelsko drogie mieszkanie.

Nogi się pod nim ugięły, a on sam klapnął tyłkiem o ziemię.

– Już więcej nie piję – wymamrotał, przecierając twarz ze zmęczenia.

Ze zdziwieniem odkrył, że cały jest mokry. Zrobił wdech, poczul kojący zapach pieczeni i westchnął ciężko. Dawno się tak nie zestrachał. Źycie ze starym jednak jakoś go tam zahartowało. Mimo mikrej postury, do lękliwych raczej nie należał, a tu taka panika. Dobrze, że Gocha go takim nie widziała, bo... Właśnie! Gośka!

Wspomnienie bliźniaczki sprawiło, że ocknął się i dostrzegł błysk na czarnej podłodze. Podpełzł do niego i wkrótce zrozumiał, że patrzy na kolejną zawieszkę siostry. Tym razem był to as kier – prezent od niego. Aż się zdziwił, że go nosiła. Nie pasował do tych uroczych, dziewczynskich rzeczy, jakie zwykle przypinała do swoich bransoletek.

Poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Kurde, taka idiotka. Marudna, wyfiokowana pinda. Złośliwa zołza, ale jego zołza! Jeśli coś jej się stało...

Podniósł głowę i z determinacją spojrzął przed siebie. Tuż obok schodów był wąski korytarz z rzędem ciemnych drzwi. Na jego końcu majaczyły się kolejne schody. Znów prowadziły w dół. Ale nie to zaprzętało teraz jego uwagę. Może w jednym z tych pokoi bezpiecznie spała Gocha, a on jak głupi miotał się po tym dziwnym domu? Albo chociaż ta ruda z imprezy? Pożyczy od niej ładowarkę i zadzwoni do siorki, i wspólnie jakoś ją znajdą. Potem opowiedzą sobie o imprezie i nagle wszystko stanie się jasne. Kto wie? Może nawet wyjdzie z tej przygody z dziewczyną? Tak! Na pewno tak będzie!

– Gocha! – krzyknął i gnany nadzieją, dopadł do pierwszych z brzegu drzwi.

Szarpnął za klamkę. Nic. Zamknięte. Dorwał się do drugich. Te również nie ustąpiły, mimo że wyrznął w nie barkiem. Do trzecich już całkiem jawnie się dobijał. Nie przejmował się, że może kogoś obudzić.

– Gocha! Ruda! Ktokolwiek! – krzyczał. – Niech ktokolwiek się odezwie!

Był półnagi, zmarznięty i zmęczony. Chciał, żeby to wszystko się skończyło, żeby okazało się tylko popieprzonym snem na prochach.

Kiedy złapał za czwartą klamkę, poczuł bolesne ukłucie. Odskoczył jak oparzony. Z dłoni pociekła mu krew. Tym razem jednak coś usłyszał. Jakby cichutki szmer oddechu, który w tym pozbawionym dźwięków domostwie wydał mu się najpiękniejszą pieśnią zbawienia. Natychmiast przywarł do drzwi. Coś poruszyło się po drugiej stronie. Ogarnięty dziwną euforią, zaczął walić w nie z całych sił. Za każdym uderzeniem znaczył powierzchnię krwawymi zaciekami.

– Gocha! – krzyczał. – Gocha, otwieraj! Wpuść mnie! Wynośmy się stąd. To miejsce jest...

Ciszę domu przerwał nieludzki wrzask. Przerażony, Janek natychmiast odskoczył od drzwi. Nie zauważył jednak krawędzi schodów. Zachwiał się i w desperackiej próbie ratunku chciał złapać się poręczy, ale ta wyslizgnęła się z jego palców, lepkich od krwi. Po chwili runął z łoskotem w dół schodów i zniknął w piwnicznym mroku.

00:59

„Gaudi” był pełen wijących się dwudziestolatek. Sztucznie opalonych, nienaturalnie wygładzonych i piekielnie błyszczących. To roztańczone i półnagie stado spokojnie mogło konkurować z najlepszym stroboskopowym oświetleniem klubu o to, kto zapewni więcej

blasku. Na szczęście, zaraz po wejściu Gocha spotkała jakieś koleżanki i teraz w najlepsze szczebiotały w jednej z bocznych łóż. W jaki sposób słyszały się w tym hałasie? Janek nie miał pojęcia. Dla niego liczyło się tylko to, że ze swojego miejsca przy barze mógł obserwować zarówno siostrę, jak i parkiet – w poszukiwaniu potencjalnej ofiary Jankonatora. Czuł, że dziś jest ta noc. Że będzie miał chłopakom do opowiedzenia coś więcej niż historie zerznęte z niszowych filmów porno. Już nawet wypatrzył taką jedną rudą i właśnie dodawał sobie animuszu drugim piwem.

– Marnie wyglądasz, chłopcze – usłyszał tuż przy swoim uchu. – Matka cię nie karmi?

Już odwracał się do rozmówcy, mając na końcu języka celną ripostę, ale jego wzrok padł na najpiękniejsze cycki, jakie w życiu widział. Co z tego, że ich piękno brało się głównie z tego, że były prawdziwe i ledwo ukryte w czarnym staniku, nieskromnie wyglądającym spod jasnej marynarki, żakietu czy jak się to badziewie nazywało?

– Aggraah – wychrypiął i natychmiast tego pożałował. Próbował zamaskować wstyd łąpczywym piciem z kufła.

– Takiś słaby, że nawet mówić porządnie nie możesz – zakpiła nieznajoma, odgarniając na bok czarne loki. – Ciekawe, jak przelecisz tamtą rudą, skoro nie masz siły nawet ze mną porozmawiać. – Oblędnie czerwonymi ustami objęła słomkę i pociągnęła łyk kolorowego drinka.

– Ja wcale nie... – Zapowietrzył się.

– Chciałeś, chciałeś – zaśmiała się perliście, ale jakoś tak zimno. – Zobaczyłam to w twoich oczach. Spojrzenia nie oszukasz. – Popatrzyła na niego wymownie.

Nie potrafił skupić się na jej twarzy. Mimo że przyglądał się usilnie, nie umiał powiedzieć, jak wygląda, ale wiedział, czy też bardziej czuł, że jest bardzo piękna. Tylko te oczy... Musiała nosić jakieś soczewki, bo nie sądził, żeby naturalnie były takie fioletowe, prawda? Mógłby się w nich zagubić, gdyby nie fakt, że wydawały mu się strasznie stare.

– Braciak, daj się napić! – Gocha wpadła między nich, chwyciła jego kufel i wypila duszkiem niemal połowę.

Janek dostrzegł w oczach nieznajomej gniew, który niemal momentalnie przerodził się w zainteresowanie.

– Mówił wam ktoś, że jesteście bardzo podobni? – zaczęła, wracając do swojego drinka.

– Wiadoma sprawa. – Gocha uśmiechnęła się triumfalnie. – Ten gamoń jest ode mnie starszy raptem o kilka minut. – Sprzedała Jankowi kuksańca w bok.

– Bliźnięta? – upewniała się nieznajoma, a gdy Gocha potwierdziła skinieniem głowy, uśmiechnęła się tak jakoś dziwnie.

Drapieżnie.

– Rusz się, młotku! – Siostra zaczęła ciągnąć go za ramię. – Chodź na parkiet, bo ci wszystkie laski wybiorą. – Miał wrażenie, że młoda wypła więcej, niż się po niej spodziewał.

– Świetny pomysł – przytaknęła nieznajoma. – Dopij i lecimy. – Złapała go za rękę i gdy tylko odstawił kufel, pociągnęła na parkiet.

Tańczyli we trójkę, bujając się bardziej w takt drżącego basu niż w rytm jakiejś konkretnej melodii. Obca bez przerwy się im przyglądała i raz po raz przejeżdżała długim językiem po mięsistych wargach.

– Apetycznie razem wyglądacie – wymruczała chłopakowi do ucha.

Po plecach przeszedł mu dreszcz podniecenia. Laska wręcz pożerała go wzrokiem. Janek nigdy nie czuł się tak chciany, tak pożądany. Tak bardzo wystawiony na cel. Przez chwilę miał wrażenie, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe, a potem poczuł dłonie nieznajomej zaciskające się na jego pośladkach i niemal pisnął ze szczęścia, kiedy jej obfity biust naparł na niego.

To była najszczęśliwsza chwila w jego dwudziestoletnim życiu, tylko dlaczego nogi zaczęły mu się tak bardzo plątać? Próbował się skupić, ale świat wirował zdecydowanie bardziej, niż powinien po dwóch piwach. Kątem oka dostrzegł Gochę, ruszającą się, jakby była kompletnie pijana.

– Moje cukiereczki za dużo wypły. – Nieznajoma podtrzymywała ich coraz silniejszym objęciem. – Zaopiekuję się wami, gołabeczki – wyszeptła.

Ostatnie, co pamiętał, to słodki, korzenny zapach, który go otulił. Pachniała zupełnie jak ciasto... Jak ciasto z...

00:15

Drugie przebudzenie tej nocy było znacznie gorsze. Wszystko go bolało. Każdy mięsień, każda najmniejsza kosteczka w jego ciele zdawała się być poturbowana. Poruszył się niespokojnie. Ciało protestowało, ale udało mu się podnieść. Musiał dość mocno wesprzeć się na piekielnie gładkiej ścianie, aczkolwiek wyglądało na to, że nic sobie nie złamał. Tylko mocno poobijał. Miał szczęście, jeśli można to tak nazwać. Chyba stracił na jakiś czas przytomność, bo krew na ręce zdążyła już nieco zaschnąć. Przejechał dłonią po głowie i aż

syknął z bólu. Z tyłu rósł mu olbrzymi guz, ale raczej nie zagrażał jego życiu. Przynajmniej nie w tej chwili.

– Gdzie ja, do jasnej cholery, jestem? – wymamrotał. Miał wrażenie, że już dawno powinien zadać sobie to pytanie.

Spojrzał na schody. Lampki z góry nie oświetlały ich w całości. Koniec niemal zupełnie nikał w mroku. Janek mógł tylko gwizdnąć cicho, gdy zobaczył, jaką odległość przeokoziółkował. Głupi faktycznie mają szczęście. Wymacał barierkę i już miał wspiąć się na pierwszy stopień, gdy poczuł, że nie da rady. Może podniesie nogi raz, drugi, trzeci, ale na pewno nie tyle, ile wymagało wspięcie się na szczyt. Poza tym jeszcze nie znalazł Gochy, a na górze raczej jej nie było.

Odwrócił się. W końcu ciemnego korytarza dostrzegł jaśniejący, biały prostokąt. Pociągnął nosem. Zapach pieczystego był z tej strony jakby wyraźniejszy, a słodka woń cięższa, bardziej lepka i... metaliczna? Westchnął ciężko i pokręcił głową.

– Zaczynasz wariować, stary – mruknął do siebie. Ktoś tam musiał być, skoro gotował o tak niecodziennej porze. Może natknie się na jakąś służbę? Po przepychu piętra wcale by się nie zdziwił, gdyby spotkał tu kucharkę. Tylko dlaczego nie zareagowała na jego wołanie?

Odetchnął głębiej słodką wonią.

– W zasadzie to jak miała cokolwiek usłyszeć, jak jej kuchnie w takich lochach urządzili! – warknął zły na domniemanych właścicieli domu. – Burzuje pieprzone. Wszystko byleby się z pospólstwem nie zadawać. – Obrócił się plecami do schodów i pokuśtykał przed siebie.

Wspomnienie przerażającego krzyku z góry zdawało się blednąć z każdy wdechem słodko-pieczystego powietrza.

Po wyjściu z ciemnego korytarza w pierwszej chwili nic nie zobaczył. Oślepiła go biel pomieszczenia, spotęgowana przez płytki odbijające światło jarzeniówek. Ktoś w tym domu miał ewidentnego hopla na ich punkcie. Po kiego grzyba wykladać nimi nie tylko podłogę, ale i mury, aż do samego sufitu? Poroniony pomysł.

Podszedł do ściany i dotknął jej powierzchni. Była gładka, lodowato zimna i jakby... mokra?

– Co to, łaznia jakaś czy co? – Zmrużył oczy i ruszył przed siebie.

Czuł wyraźnie, jak podłoga opada, więc szedł niepewnie, noga za nogą, ręką szukając jakiegoś oparcia. Po chwili dostrzegł kratkę ściekową. Teoria z łazienką zdawała się potwierdzać, gdy nagle dłonią natrafił na ciężki, metalowy przedmiot.

Przetarł oczy i zmusił się, żeby otworzyć je szerzej. Po chwili piekącego bólu zaczął wyraźniej dostrzegać szczegóły. Na ścianach wisiały masywne łańcuchy zakończone kajdanami albo grubymi hakami. Część z nich była wręcz wmurowana w ściany. Aż zdziwił się, że nie dostrzegł ich od razu, ale tak bardzo skupił się na racjonalizowaniu swojego położenia, że niemal wyparł to, co cały czas miał przed oczami. Wówczas też zrozumiał coś bardzo ważnego. Może i płytki były głupie, ale za to bardzo łatwo się je myło.

Woń zgnilizny, do tej pory maskowana przez słodko-pieczysty aromat, uderzyła w niego ze zdwojoną siłą. Jakim cudem nie wyczuł jej wcześniej? Przecież jebało tu gorzej niż w najpodlejszej rzeźni!

Na samą myśl o gnijących zwierzęcych tuszach puścił pawia, a zmęczone i poobijane członki ugięły się pod nim tak, że niemal wylądował twarzą we własnych rzygowinach. Krztusząc się i parszcząc w mizernej próbie pozbycia się kwaśnego posmaku z ust, wpatrywał się w stróżkę cieczy spływającą do kratki ściekowej. Nagle zauważył, że coś się w niej zaklinowało. Z trudem balansując na obolałych dłoniach, podniósł się i ostrożnie wydłubał znalezisko.

Kiedy podniósł drobiazg do światła, mało nie krzyknął z przerażenia. Trzymał w palcach kolejną zawieszkę – różę, pokrytą czymś, co przypominało zaschniętą krew.

Jankowi zakręciło się w głowie. Wspomnienia minionego wieczoru wróciły do niego ze zdwojoną siłą. Tak, poznał w klubie jakąś kobietę. To właśnie z nią tańczył, ale bardzo szybko się spił. Zbyt szybko jak na niego. Baba musiała dorzucić mu coś do piwa i...

– Kurwa! – zaryczał. – Nie, tylko nie to. Błagam. Tylko nie to... – wyjęczał, gdy uświadomił sobie, że Gocha piła z jego kufla.

Jakimś cudem udało mu się wstać, ale był zbyt zdruzgotany, by rejestrować, co robi. Zataczając się od ściany do ściany, przeszedł do zupełnie innego pomieszczenia. Tu zapach pieczystego był jeszcze bardziej intensywny. Jankowi aż zaburczało w brzuchu, a ślina pociekła po brodzie. Odurzający, słodki zapach znów otulił głowę, wpychając w nią uspokajające myśli. Przecież dookoła niego było tak ładnie.

Znalazł się w przytulnej, wiejskiej kuchni, jakby żywcem wyjętej z sielankowych zdjęć z Instagrama. Wszystko w niej było ciepłe i swojskie: warkocze czosnku, pęki ziół zawieszane pod sufitem, drewniany stół przykryty białym haftowanym obrusem, stare garnki i patelnie, pamiętające niejedną przypalony obiad. Miał wrażenie, że zaraz pojawi się przy nim jakaś starowinka i poda mu pajdę świeżo pieczonego chleba, grubo posmarowaną smalcem, a on wyciągnie z tego kamionkowego garczka gruby i soczysty ogórek kiszony.

Znowu zaburczało mu w brzuchu. Był piekielnie głodny, a ten niebiański zapach pieczeni wcale mu tego nie ułatwiał. I jeszcze ta słodycz. Jakby wszystkie karmelki, wuzetki, bajaderki i pierniki świata zlały się w jeden oszalamiający aromat, od którego zakręciło mu się w głowie. Gocha pewnie gdzieś tam zajadała się smakołykami, a on jak głupi dał się opętać szalonej wizji nietypowego domu.

Zaśmiał się obłąkańczo. Jeszcze trochę i na pewno się spotkają, by razem skosztować tej pieczeni. Tak. Właśnie tak będzie. Musiał tylko przejść jeszcze kilka kroków.

Otumaniony przez cudną woń, ból i zmęczenie, szedł za swoim nosem, nie zwracając uwagi na to, że sielankowa kuchnia mroczyła. Gdyby dobrze się rozejrzył, dostrzegłby wielkie noże, ostre tasaki i wielkie maszynki do mielenia mięsa, lecz to już nie miało dla niego znaczenia. Kuchnia powoli zmieniała się w masarnię z prawdziwego zdarzenia, a on zmierzał do jej serca.

00:02

W końcu trafił na mały pokoik, w którym jedynym źródłem światła był olbrzymi piec. Wyświetlacz z intensywnie czerwonymi cyframi wskazywał, że do końca została nieco ponad minuta. Wewnątrz coś się piekło, a sądząc po wielkości wsadu, nie zdziwiłby się, gdyby znajdowała się tam cała świnia. Jednak pewne rzeczy się nie zgadzały. Jakby proporcje pomiędzy kończynami i torsem były jakoś dziwnie zachwiane.

Podchodził do pieca ostrożnie, z bliżej nieokreślonym lękiem. To, co z początku wziął za pieczoną świnię, zdecydowanie nią nie było. Nie przypominało żadnego zwierzęcia, jakie można by w ten sposób przyrządzić. Przypominało...

Bosą stopą trącił coś na ziemi. Kawalek łańcuszka z zawieszka w kształcie piernikowego ludka.

Czerwony wyświetlacz piekarnika nieubłaganie odliczał sekundy do końca pieczenia.

Szok zrozumienia i dziwny kształt pieczeni wywołały w Janku mdłości, szczególnie że jeszcze niedawno rozważał skosztowanie pieczystego.

Krzyk rozpaczony zmieszał się z nieubłaganym piskiem minutnika.

Janek nawet nie usłyszał upiornego śmiechu, gdy ciężka pałka opadła mu na głowę.

Pieczeń była gotowa.

00:00



OSTATNI DOM PRZY CORNLAND ROAD

Wojciech Kryśka

Powiedzieć, że dom przy Cornland Road 4300 należał do miasta Chesapeake, byłoby nadużyciem podobnym do stwierdzenia, że Księżyc należy do NASA. Posiadłości przy Cornland Road o numerach powyżej czwartego tysiąca należały do bagien. Do wielkich wirginijskich bagien, o których wspominał Jim Morrison w „Radio Texas and the Big Beat”, niedocenionej perełce The Doors.

Większość domów w tej okolicy miała swoich stałych właścicieli – ludzi ceniących prywatność i izolację od tachykardialnego zgiełku miasta. Samotników, jak można by ich staromodnie nazwać. Ostatni dom, położony na końcu, przy skrzyżowaniu z leśną drogą należącą do parku narodowego, był jednak wiecznym problemem agentów nieruchomości. Zbyt duży, zbyt stary, zbyt dobrze zachowany, by się go pozbyć, i kurczowo trzymany jako składnik aktywów przez kolejne fundusze inwestycyjne. Stanowił istny wrzód na dupach kolejnych agentów nieruchomości, którym utrudniał „wyrobienie targetu”. Mchy, które dokonały udanej inwazji na dach pokryty gontem, wypaczone okiennice, zza których wyzierały czarne, otchłanne okna, zszarzałe drewno elewacji oraz zapuszczony ogród, który zagarniały bagienne cyprysy i błotnie, odstraszały tych bardziej delikatnych klientów, którzy szukali lokalizacji grillowych z trawnikiem łatwym do obróbki i dużym garażem mieszczącym oba suwy. Ci, który najpierw ulegli fascynacji romantycznym otoczeniem, potem ulegali rozdrażnieniu, zniechęceniu i uciekali, wyparci przez schody skrzypiące przy każdym kroku i wiecznie niesprawne instalacje: wodno-kanalizacyjną, ogrzewania, a już szczególnie elektryczną. Najbardziej odpornych wypędzały roje much, komarów i czarne niedźwiedzie plądrujące śmietniki z finezją godną zastępów Attyli. W związku z tym trudno powiedzieć, skąd wzięły się pogłoski o upiorach, nocnych dźwiękach podobnych do drapania szurzących pazurów po szkle i o ludziach porywanych prosto do piekła.

Owszem, sama historia posiadłości dostarczała paliwa do podsycania ognia tych opowieści, gdyż dom został zbudowany w połowie XIX stulecia przez Christiana de Koka, holenderskiego emigranta – odludka jakich mało, doskonale jednak wiedzącego, jak na bagnach się komfortowo urządzić. Podobno przywiózł ze sobą jakąś dziwną skrzynkę, niewiele większą od futerału na skrzypce, w której coś grzechotało z pogłosem, jaki nie przystoi małym drewnianym skrzynkom. Podobno były to kości diabła. Podobno od czasu, gdy się sprowadził na bagna, zaczęły się tam dziać złe rzeczy – ludzie znikali w lesie, krzyczeli w snach, kobiety częściej rodziły martwe dzieci. Ale nikt nie był w stanie udowodnić, że jest to związane z de Kokiem. W końcu Chesapeake w Wirginii to nie Salem w Massachusetts, a i półtora wieku wystarczyło, by ludzie ochłonęli i przemyśleli swoje decyzje, zanim czymś stosem oświecą ciemność swoich serc. Stary de Kok zmarł, a na miejscu pozostał jego najmłodszy syn Piet, który był uznanym w okolicy stolarzem i snycerzem. Problemy z lasem na bagnach nie minęły, lecz któż by tam oskarżał tak dobrego stolarza o czary? Dom de Koków przechodził z ojca na syna aż do połowy dwudziestego wieku, gdy Bill de Kok, dobrze zapowiadający się prawnik, wyprowadził się do Bostonu i sprzedał posiadłość bankowi. Od tamtej pory, z przyczyn, które wymieniłem, nikt już nie

mieszkał w domu dłużej niż pięć miesięcy. Nikt nie opisywał problemów z niewyjaśnionymi zjawiskami, natomiast każdy skarżył się na hordy komarów, praktycznie nienaprawialne instalacje oraz potępieńczo skrzypiące schody. Toteż gdy pewnego dnia Timothy Ness – agent nieruchomości, którego dotknęło nieszczęście posiadania w swoim portfelu domu na końcu Cornland Road – usłyszał, że jakiś zespół rockowy chciałby wynająć ten dom na kilka tygodni do nagrania płyty, uszczypnął się, by sprawdzić, czy nie śni.

Zespół nazywał się Anthracotherium i podobno grał jakąś odmianę metalu, którą nazywali *doom sludge*. Dla Tima, który był zadeklarowanym fanem Johnny'ego Casha, nie miało to znaczenia. Ważne było, że ich wytwórnia – metalowa fabryka „Relapse Records” – była stabilnym i wypłacalnym przedsiębiorstwem, które nie musiało oszczędzać. Targowanie się o cenę miało więc charakter raczej kurtuazyjny i nawet nie zbliżyło się do jakiegoś konfliktu.

Ostatni rzut oka na dom przed złożeniem zaplanowano na czwartek pod koniec października. Tim był na miejscu kilka kwadransów wcześniej, by doglądnać budynku, skontrolować jego stan i ewentualnie wygonić z niego pracowników firmy sprzątającej, którzy nigdy nie potrafili zrozumieć albo obsługi zegarka, albo pojęcia „wynieść się do południa”. Albo obu jednocześnie. W południowym świetle dom sprawiał wrażenie miłego i komfortowego, a ekipa sprzątaczy wyniosła się o dziwo punktualnie. Tim pomyślał, że jednak do czegoś przydaje się zła sława – robotnicy rekrutujący się spośród słabo wykształconych mieszkańców okolicy okazali się niezwykle przesądni i podatni na sugestie. I nie zamierzali spędzać w „nawiedzonym” domu ani minuty dłużej, niż było to potrzebne.

Kilka minut po umówionej godzinie przed dom zajechały trzy samochody osobowe, furgonetka i dwie ciężarówki. Tim się zdziwił. Oczywiście, jeśli podpiszą umowę, to od razu będą mogli się wprowadzić, to prawda. Ale skąd ta pewność, że im się spodoba? *W sumie, pomyślał i odprężył się, to ich ryzyko i ich sprawa. Jeśli się już chcą wprowadzić i włożyli jakiś trud w pakowanie się, to mało prawdopodobne, że do podpisania nie dojdzie.*

Z samochodów wysypali się ludzie. Timothy aż zamrugał, gdy ich zobaczył. Ten, który wysforował się na czoło – odziany w garnitur Latynos o zupełnie niepasującym do niego nazwisku: Hazelmayer – był menadżerem grupy. To on miał pełnomocnictwo wytwórni do podpisania umowy. I to na nim zamykała się lista normalnie wyglądających ludzi. Członkowie zespołu, którzy za nim szli, byli ubrani w stroje sceniczne: czarne bluzy z kapturami naciągniętymi na oczy i wystrzępione pióropusze, które podkreślały makijaż kojarzący się z kamuflażem komandosów. Muzyk kroczący sztywno na końcu, mierzący

prawie siedem stóp wzrostu, twarz pod kapturem miał zasłoniętą maską z czarnego lakierowanego drewna. Pracownicy techniczni, którzy wysiedli z furgonetki i ciężarówek, nie odbiegali od stylu muzyków – włosy długie lub nastroszone pod dziwnymi kątami, plemienne tatuaże wijące się wzdłuż ramion i wspinające na karki, ogólna czerń panująca w ubiorze.

– Dzień dobry – Ness uściśnął dłoń Hazelmayera. – Nie spodziewałem się, że tak szybko zajmiecie lokal.

– Dzień dobry. Chłopaki chcą tu świętować Halloween – żartobliwie wytłumaczył menadżer.

– Nie Halloween, tylko Samhain – sprostował długowłosy muzyk w kapturze. – I nie świętować, tylko wykorzystać do pracy.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie znam tak magicznej terminologii – podjął Tim. – Natomiast rozumiem, że panowie jesteście zdecydowani, by wynająć ten dom. Jeden podpis pana Hazelmayera i możecie już wносить tu instrumenty...

Muzycy nagle zaczęli się rozglądać po domu, ale nie było to wnikliwe ocenianie nieruchomości, lecz raczej rodzaj gry aktorskiej, gdy w szkolnym teatryku dzieciom każe się udawać, że czemuś z ciekawością się przyglądają. Tim odruchowo dołączył się do tego rytuału i gdy omiatał wzrokiem salon, zauważył, że taśma lepu pełna jest much, niczym Walmart klientów w Czarny Piątek. Zdziwiło go to, bo ledwie wczoraj kazał je zmienić na czyste.

Muzycy szybko i głośno wyrazili swoje zadowolenie z lokalu, choć w ich głosach czuć było napięcie. Hazelmayer i Ness usiedli przy stole, zachręściły stalówki piór, a podane dłonie uściśnęły się na znak zawarcia obopólnie korzystnej umowy. Ness wyszedł przed dom, by zapalić swoje cygaro. Stał tam już zakapturzony muzyk, który ćmił papierosa. A przynajmniej tak wolał o tym myśleć Ness, dopóki marihuana była nielegalna na terenie Wirginii.

– Spieszycie się – zagaił Tim, wskazując na techników wnoszących sprzęt w wielkich czarnych skrzyniach.

– Tak. Chcemy wykorzystać odpowiedni układ gwiazd – odparł muzyk i po chwili się zreflektował. – Sean McCormack, gitarowokalista – przedstawił się, podając rękę agentowi. – Przepraszam, dobre maniery nie są moją najmocniejszą stroną.

– Timothy Ness, zwyczajny agent – odpowiedział mu Tim, ściskając podaną dłoń. – Rozumiem, że takie sprawy jak nawiedzone domy, tajemnicze święta i układy gwiazd wpływają na waszą twórczość? Czy to takie proste napawanie się atmosferą, czy stoi za tym coś bardziej mistycznego?

McCormick łypnął na niego okiem.

– Tu nie ma prostej odpowiedzi – zaczął. – Zespoły zawsze szukały fajnych miejsc do nagrywania. Tak było z Led Zeppelin, gdy wynajmowali Headley Grange, by nagrać swoją czwartą płytę, i tak było z Nine Inch Nails, gdy wynajmowali dawny dom Polańskiego, by nagrać „The Downward Spiral”.

Tim coś kojarzył. Ta ostatnia nazwa nie była mu obca, gdyż Johnny Cash nagrał cover ich piosenki „Hurt”. Piękna, melancholijna ballada. Ciekawe, czy ci Nine Inch Nails mają więcej takich nastrojowych kawałków?

– Innym przykładem byli Red Hot Chili Peppers, którzy nagrywali w domu Houdiniego – kontynuował Sean. – Ci ostatni bardzo mocno czuli obecność „duchów”. Ale Peppersi robili muzykę pełną energii. My robimy muzykę pełną innych emocji, sięgających głębiej. Tego, co stanowi skraj bycia istotą ludzką. Chcemy docierać i przekazywać wrażenia z granicy świata. Pomagać ludziom zadawać sobie pytanie: „Czym jest człowiek?” i wspierać ich w znajdowaniu odpowiedzi...

Tim prawie przestał go słuchać. Nawet nie musiał głębiej wciągać ziołowego dymu skręta, żeby wiedzieć, że to nie jest papieros. Kolejni odjechani rockmani. Miał tylko nadzieję, że po ich wyprowadzce nie będzie potrzeby remontowania domu. Tu już do sprzątnięcia trudno było zagonić ludzi. Zaciągnął się cygarem i zauważył ważkę siedzącą na balustradzie. Miała przezroczyste skrzydła z czerwonymi żyłkowaniami gęstniejącymi przy końcach. Wyglądały jak smugi krwi. Do Norfolk i Chesapeake takie nie docierały.

Z zamyślenia wyrwało go nazwisko budowniczego domu i jego pierwszego rezydenta.

– ... do Kok tu sprowadził. Coś tam się mówi o „kościach diabła”. Ale to tak, jakby polinezyjski wyspiarz miał opisać okręt podwodny. Jakby nie opowiadał, to zawsze wyjdzie mu czarny, metalowy wieloryb. To kwestie ograniczeń języka. Jednakże de Kok dobrze wiedział, co sprowadził. Narzędzia. Narzędzia do otwarcia przejścia. On to przejście otwierał i coś przez nie przeszło. I to coś tu dalej mieszka. Ale staremu Christianowi nie chodziło o samo tylko wpuszczanie tu dziwnych istot. One raczej wślizgiwały się tu przez jego nieuwagę. Jego celem było wychodzenie poza nasz świat, aby skonsolidować w sobie tę esencję bycia człowiekiem. Konfrontował się z innością pozaświecia, przekraczał granice...

– Skąd pan tyle wie o de Koku? – Tim postanowił przerwać gitarzyście, by już nie słuchać narkotycznych bajęd, a przy okazji może dowiedzieć się czegoś, co pomoże mu kiedyś skuteczniej sprzedać lub wynająć dom. – Wie pan, takich rzeczy to nawet sobie tubylcy nie opowiadają.

Sean spojrział na niego z lekkim zawahaniem, jakby nie wiedząc, czy rozmówca nie kpi. Albo może był to wpływ palonego zioła.

– No tak... Nie sądzę, żeby była tu znana „Liber Brunneis”...

– Czy to jakiś zespół należący do waszej sceny?

– Nie. To napisany przez de Koka komentarz do „De Vermis Mysteriis” Ludviga Prinna. To przez ten traktat musiał się wynieść ze starego kontynentu. Były takie kręgi związane z Żółtym Znakiem, którym chciał zejść jak najszybciej z oczu. I jak najdalej. Ale jednocześnie chciał zgłębić wiedzę, którą wykradł i wynikiem tych badań była „Liber Brunneis”, czyli „Brażowa Księga”.

– Czyli jednak czarownik? – upewniał się Ness.

– Tak... W waszym rozumieniu tak. Ale nie taki, który wywołuje diabła, żeby się wzbogacić czy zbałamucić dziewczki we wsi.

– Wie pan, ja jestem prostym człowiekiem. Ja nie chcę się wchodzić w to voodoo, tylko dowiedzieć takich ciekawostek, które przydadzą mi się do biznesu.

Sean spojrział na niego zamglonym wzrokiem.

– To proszę poczekać, aż skończymy nagrywać album – odparł i rzucił skręta na ziemię. – Myślę, że będziemy mieli coś ciekawego dla pana.

Rozdeptał niedopałek i odszedł w kierunku domu. Ness poczuł ukłucie na karku. Klepnął się tam otartą dłonią i z niesmakiem popatrzył na komara rozmazanego na dłoni. Zdecydowanie za wcześnie. Przecież dopiero niedawno minęło południe.

Minęły dwa tygodnie i nadszedł czas Samhain. Nie było co liczyć, że dotrą tu łupieżcze wyprawy dziecięcych grup proponujących tradycyjny wybór między cukierkiem a psikusem. Noc była ciemna, deszcz lał strumieniami. Zespół zgromadził się w salonie, tymczasowo zaadaptowanym na studio nagraniowe. Sean McCormack dzierżył gitarę i ćmił skręta, którego ziołowy dym rozwiewał wszelkie skojarzenia z marihuaną. Na drugiej gitarze grał Preston Schwartz, krótko ostrzyżony osiłek z twarzą poznaczoną czarnymi smugami mieszaniny sady i jakiegoś wonnego balsamu. Na jego głowie znajdowało się skrzyżowanie pióropusza i czegoś na kształt azteckiego diademu, wykonane z kruczych piór i kości lakierowanych na czarno. Dla odmiany gitarą basową, instrumentem ze swej natury większym i bardziej topornym, władał Lee Ozmana, zwany Ozem – chudy, bladolicy młodzieniec, który ledwo zostawił za sobą nastoletni wiek i przykrywał twarz zasłoną

włosów, farbowanych na czarno. Za bębnami siedział ów siedmiostopowy drągał o sztywnych ruchach i twarzy skrytej za maską z czarnego drewna. Jedynym zakłóceniem jej gładkiej powierzchni była wąska szczelina, za którą – prawdopodobnie – znajdowały się oczy perkusisty. Prawdopodobnie, bo szczelina była irytująco asymetryczna. The Horizon, bo taki oficjalny pseudonim nosił perkusista, zachowywał milczenie, gdy reszta zawzięcie klóciła się o szczegóły nagrania z Antonem Legrassem, producentem, który normalnie siedział za konsolami systemu nagraniowego w sąsiednim pokoju.

– Ile razy mam powtarzać, że to nie ma sensu?! – pieklił się producent. – Już wam to nawet nagrałem i mogliście wysłuchać. Gitary trzeba nagrać osobno! – Każde słowo podkreślał uderzeniem pięścią o futrynę. – I to każdą z osobna! Tu jest akustyka jak w wychodku, więc gdy gracie wszyscy naraz, to dźwięk jest gówniany...!

– W dupie mam twoje wywody! – kontrował Preston – Jeszcze rozumiem, że będę miał sekcję na słuchawkach, ale my się z Seanem musimy widzieć, żeby to miało ręce i nogi! To nie jest jak „After Hours of Dusk”, gdzie każdy z nas miał swój riff, tylko to musi być sprzęg, to musi falować między nami...!

– Preston, kurwa! – krzyczał na to McCormack. – Ale przecież widzisz, że nie damy tak rady! Zamiast drzeć japę, musimy coś wymyślić razem, żeby to pozbierać do kupy. Jak się będziemy tylko stawiać, to wyjdzie coś jak w „Sandstorm from Leng”, który zajebicie brzmi na koncertach, ale na płycie jest takim gównem, że wstyd się do niego przyznawać.

– Ja pierdolę! – dorzucał się Oz. – Co tu jest do filozofowania!? Gramy osobno! Nie ma sporu co do sekcji, więc dajcie mi z Horizonem zagrać swoje i pójdziemy coś wreszcie wszamać, bo już tu z głodu zaczynam cipiść. A słyszę, że wy już jesteście w bardziej zaawansowanym stadium!

Nagle z tyłu domu dobiegły trzask i coś jakby odległy skowyt. Wszyscy umilkli i obrócili się w kierunku, z którego dochodził dźwięk. Skrzypnięcie schodów. Po chwili następne, jakby ktoś się starał jak najciszej wspiąć na piętro.

– Mamy gości – mruknął Sean. Wypluł niedopałek skręta i zdeptał go na kamieniach, którymi wyłożono salon. Przypuszczał, że to te kamienie psuły całą akustykę.

W ciszy słyhać było skrzypienie schodów, które oddalało się w kierunku piętra.

– Dobra, ja idę sprawdzić – zgłosił się Oz, zdejmując bas i opierając go o ścianę. Wiatr zawył potępieńczo i napał na krzywe okiennice.

Z każdym krokiem na górę, z każdym skrzypnięciem schodów, Oz czuł narastające zimno, przenikające do szpiku kości i osłabiające ducha. Zaciśnął zęby i szedł dalej. Z ust zaczęły wydobywać mu się kłęбки pary. Na piętrze zbierała się już mgła. Stał chwilę i nasłuchiwał.

– Jest tu kto? – krzyknął, ale głos wiązał mu w gardle. Odchrząknął i zawołał jeszcze raz.

Usłyszał jakieś zgrzytnięcie, jakby pazurów na drewnianej podłodze, z pokoju po prawej stronie. Podeszedł do drzwi i pchnął je. W środku kłębiła się mgła. A w niej stała słabo zarysowana sylwetka czegoś, co wyglądało jak olbrzymi krocionóg z czworgiem ślepi, fosforyzujących hipnotycznym blaskiem. Oz zatrzymał się w progu.

Chodź...!, usłyszał w myślach natarczywy rozkaz. *To nie potrwa długo... i nie będzie bolało....*

Przekroczył próg.

W salonie panowała pełna napięcia cisza.

– Coś go długo nie ma – mruknął Preston.

– Myślicie, że sobie nie poradził? – zapytał ściszym głosem Sean.

– Trudno orzec – odmruknął Preston. – W sumie nie wiemy, co tak naprawdę ściągnął tu de Kok.

Znów zapadła cisza, w której starali się usłyszeć jakikolwiek dźwięk.

– Nie. Nie mogę. Idę sprawdzić – zdecydował Anton i ruszył na schody.

– Weź, czekaj! Nie rozdzielajmy się tak bez sensu! – zaoponował Preston.

– Już to zrobiliśmy. Puściliśmy chłopaka samego – rzucił jeszcze przez ramię Anton, wchodząc na pierwsze stopnie.

W tym momencie, od strony spiżarni, dobiegł ich trzask. Po nim dźwięk przewracanego wiadra. Sean spojrzał na Prestona.

– To nie tak miało być, nie? Nie taki był scenariusz – ni to zapytał, ni to oświadczył McCormack, odkładając skręta. – Ale rzeczywiście musimy się rozdzielić. Tyle że my idziemy obaj. Zostaje The Horizon.

Milczący perkusista skinął głową. Jakieś cielsko zaczęło się rozpychać w okolicy spiżarni. Jej zamknięte na klucz drzwi jęknęły naparte od wewnątrz ślepią siłą.

– To nie tak miało być – przyznał Preston, zdejmując pas gitary. – Idziemy.

W salonie, pośród porozkładanych instrumentów połączonych zmijami kabli został tylko The Horizon w swoich groteskowych czarnych szatach i masce z czarnego lakierowanego drewna, o niepokojąco asymetrycznej szczelinie na oczy. Siedział nieruchomo, jakby był manekinem lub wyłączonym robotem. Urękawiczone dłonie spoczywały na kolanach, prawa między palcami trzymała pałki. Cisza i bezruch.

Drzwi nie skrzypnęły, co sugerowało naruszenie praw fizyki. Ich wypaczenie i stan zawiasów uniemożliwiały ich ciche otwarcie. Ale tak się właśnie działo. Skrzydło uchylało się coraz mocniej, a powietrze wokół niego drgało. Gwałtowne zimo rozeszło się po całym salonie. Stworzenie stojące w drzwiach przypominało zły sen arachnologa. Choć porównywanie go do pajęczaka jest typowym błędem naszego ludzkiego umysłu, który usiłuje dopasować to, czego doświadcza, do tego, co już zna. Bo co tak rzeczywiście upodabniało potwora do pająka czy skorpionia? Liczba odnóży, których było około dziesięciu, i sposób, w jaki się zginały. Segmentowany korpus i coś, co wyglądało na szczypce, tylko że miało ich kilkanaście, a każde wyposażone nie w dwa, lecz trzy hakowato zagięte palce. I fosforyzujące oczy. Osiem. Cztery pary fosforyzujących ślepi, które zmieniały swe kolory w powolnym, hipnotyzującym rytmie.

Perkusista drgnął i obrócił powoli głowę, jakby chciał się lepiej przyjrzeć swym asymetrycznym otworem w masce. Stwór skierował ku niemu całe ciało i zdało się, że jego wzrok oświeśla pałkera jak skoncentrowany snop światła scenicznej rampy.

Tu jesteśśś..., syczący głos nie miał swojego źródła, wydawało się, że wydobywa się z całej objętości pomieszczenia. *Zdejmij masskę...*

The Horizon odłożył pałki i sztywnym ruchem sięgnął dłońmi do maski. Przez chwilę nie działo się nic, potem tak samo sztywno opuścił ręce z maską na kolana. Skorpionoid syknął jakby z bólu i wyprężył się, ale jakaś siła spętała go i zamiast rzucić się wstecz, zachrząścił wszystkimi swoimi segmentami i zamarł. Pod maską nie było twarzy. Trzyplątowe oko osadzone asymetrycznie w nieludzkim obliczu płonęło chorobliwym, koszmarnym światłem, wpatrzone w intruza na progu.

The Horizon zaczął zdejmować rękawice i uwalniać jakieś dziwne części ciała, ni to pędy, ni to macki. Jednocześnie rozpiął swoją luźną szatę, wykorzystując do tego wypustki znajdujące się pod nią. Stwór w drzwiach dygotał, próbując się uwolnić z mocy, która trzymała go w żelaznym uścisku. Kiedy wszystkie elementy odzieży zostały rozpięte, bluzniercza ohyda, która pełniła rolę perkusisty, zebrała się na kształt fali czerni i popłynęła

w kierunku potwora w drzwiach. Ten krzyknął, jak poprzednio, całą objętością powietrza w salonie. Krzyk był pełen rozpacz i przerażenia. I nagle się urwał.

Powietrze było szare i wypełnione mżawką. Tim patrzył, jak technicy ładują sprzęt do ciężarówek, a zespół powoli zbiera się do pakowania. Mieli czas. Klucze powinni oddać do wieczora, ale było to i tak bez znaczenia, gdyż nie było kolejnego najemcy, który reflektowałby na spędzenie jesieni pośród bagien. Sean McCormack stał na werandzie, sącząc kawę i ćmiąc skręta. Tim wolałby pogadać z kimś innym, ale postanowił zagać jakąś rozmowę, żeby nie snuć się w milczeniu między pakującymi się muzykami.

– Zdążyliście z nagraniem? – zagadnął wokalistę.

Sean wzdrygnął się, jakby obudzony z drzemki lub wyrwany z głębokiego zamyślenia.

– Taa... – odparł sennie. – W sumie nawet trochę czasu zostało, żeby się zastanowić nad następnym materiałem... Fani lubią, gdy się na koncercie czymś zaskoczy, czego nie ma na płycie...

– A jaki tytuł będzie miała ta płyta?

– Zastanawialiśmy się nad „Memories of Carcosa”, ale... atmosfera tego miejsca sprawiła, że najlepszym tytułem będzie „Liber Brunneis”, aby upamiętnić dzieło budowniczego i pierwszego mieszkańca tego domu, Christiana de Koka.

– O ile dobrze liczę, to nikogo nie porwały demony z bagien – zakpił Ness. – Nie spotkaliście ich?

Sean wpatrzył się w odległy koniec zapuszczonego ogrodu. Pociągnął łyk kawy, która jeszcze parowała w kubku.

– Demony z bagien... No nie – uśmiechnął się. – Dawno temu mieliśmy nawet kawałek o takim tytule. Słaby był.

Znów zapadła cisza. Gdy Tim już miał się odwrócić i wejść do domu nagle Sean zaczął mówić.

– Demony de Koka nie pochodziły z bagien. Już to kiedyś mówiłem – zaczął gitarzysta. – De Kok wybudował dom przy bagnach, by mieć spokój od ludzi. Potem wykorzystał stare rytuały do wytworzenia bramy, przez którą wędrował do innych światów. Niestety, byty z innych światów wędrowały też do nas. De Kok zmarł, zanim zamknął bramę. I tu zaczął się problem. Bo te istoty przychodziły cały czas. Żeby się to skończyło, trzeba zamknąć bramę. Żeby zamknąć bramę, trzeba mieć to – sięgnął do kieszeni i wyciągnął

wydrukowaną fotokopię jakiejś ryciny przedstawiającej smukłe, drewniane pudełko. – Bez tego nasze działania są jedynie doraźne. Tak jak teraz. Nie wierzy pan w nic, co mówię, prawda?

Tim trzymał w ręce kartkę z ryciną i patrzył na McCormacka, zastanawiając się, czy ma do czynienia z wariatem, czy gościem na haju. Czy też wariatem na haju.

– Po co ja to opowiadam... No nic – westchnął Sean. – Na razie w domu nic się nie będzie działo. Może rok lub dwa. Radziłbym panu nie wyrzucać tej kartki. Gdybyście tu znaleźli ten przedmiot z rysunku, proszę zadzwonić. Przyjedziemy i nagramy jeszcze lepszą płytę.

Pożegnali się godzinę później. Zespół odjechał, Tim został sam w domu. W zwykłym, starym, drewnianym domu na skraju bagien. Złowieszczo cichym domu.

Agent wyciągnął z kieszeni kopię ryciny i popatrzył chwilę na niepokojąco proste kształty drewnianej skrzynki i jej osobliwe zdobienia, nieporównywalne do żadnych, które dotąd widział. Poczul nieznane sobie wcześniej szarpnięcie zimnego strachu przed czymś nieludzko obcym.

Nagle zadzwonił telefon.

– Timothy Ness, agent... A, tak. Oczywiście, że pamiętam. Chodzi o apartament przy Cape View Avenue dziewięć-sześć-pięć-trzy... Tak, oczywiście. Mogę tam być za... – popatrzył na zegarek, przeliczył czas, dał sobie margines na niespodziewany objazd lub korek – ...powiedzmy: trzy kwadransy. Tak. To do zobaczenia!

Rozłączył się i popatrzył znów na kartkę.

– Prawie dałem się wkręcić – mruknął i wyszedł z domu dokładnie zamykając drzwi.

Zmięta kartka z kopią ryciny leżała w koszu na śmieci.



ZERWANE OKOWY

Paweł Wójcik

Nazywał się Zeno Chen. Był jednoosobową załogą kontenerowca międzyplanetarnego klasy Xian i właśnie wybudził z pogłębionego snu w kapsule hipotermicznej. Pierwszym sygnałem tego, że coś jest coś nie tak, był brak przełączenia oświetlenia wewnętrznego z nocnego na normalne, kiedy Zeno się obudził. Drugim – brak reakcji głównego komputera na wywołanie głosowe. Kwadrans później, gdy Zeno wszedł na mostek kontenerowca, na centralnym monitorze ujrzał obraz Jowisza, zamiast Marsa, do którego planowo zmierzał.

Wkrótce okazało się, że ocknięcie się na orbicie parkingowej Ganimedesa, księżycy Jowisza, poza granicą bezpiecznego zasięgu kontenerowca i przy placówce, o której w życiu nie słyszał, było najmniejszym z problemów Zeno.

Zeno wiedział, że coś takiego może się zdarzać. Gdy zgłaszał się do Służby Kosmicznej, podpisał stos papierów, a wśród nich zgodę na skierowanie do zadań specjalnych bez wcześniejszego informowania „operatora ludzkiego”. Tak to działało. Dziesięć lat takiej roboty i jeśli przeżyje, a przy tym nie zeświruje, czeka go dożywotnia pensyjka, ubezpieczenie zdrowotne dla całej rodziny i parę innych fajnych rzeczy. Na Ziemi – w cywilizacji, która potrafiła ściągać surowce z innych ciał niebieskich i tylko dlatego nie rozleciała się w drobny mak po wyeksploatowaniu swojej planety – oznaczało to życie na całkiem przyzwoitym poziomie.

Sęk w tym, że z całym tym skierowaniem do nowego zadania coś poszło nie tak. Poza systemami autonomicznymi kontenerowca nic nie działało. Nie mógł nawet sprawdzić dziennika pokładowego, który powinien zawierać informacje o zmianie kursu i nowych poleceniach. Wszystkie konsole pozostawały bowiem uparcie martwe.

– Cerber, słyszysz mnie? – rzucił Zeno po raz trzeci lub czwarty. – Cerber, aktywacja awaryjna! Zagrożenie życia operatora!

Cerber był teoretycznie sztuczną inteligencją. Wygaszał część funkcji swoich oraz statku na czas zamknięcia operatora w kapsule pogłębionego snu, a włączał się wraz z wyjściem operatora z rzeczony kapsuły. Teraz nie reagował na nic.

Tknięty jakimś nieokreślonym przecuciem, Zeno wrócił do kapsuły hipotermicznej i sprawdził panel kontrolny, na tyle niefortunnie umieszczony, że można go było przegapić. Wybudzenie awaryjne zostało zainicjowane przez samą kapsułę: poziom zasilania spadł poniżej bezpiecznego minimum, więc kapsuła zareagowała. Na pewno też system przekazał stosowną informację Cerberowi... Ale ten z jakiegoś powodu – prawdopodobnie niedoborów energetycznych – nie przeszedł w stan pełnej gotowości. Tak, to musiało być to. Kontenerowiec odbył zbyt długą podróż. Pięć miesięcy, zamiast planowych trzech. Przed wysłaniem jego statku w drogę ktoś nie sprawdził dokładnie specyfikacji technicznej, a zwłaszcza wydajności systemów podtrzymywania życia. Ewentualnie Kontrola miała to gdzieś: operator w praktyce był łatwą do zastąpienia służbą pomocniczą, uzupełniającą jedynie funkcjonowanie niemal w pełni zautomatyzowanego statku. Na miejsce każdego operatora czekała w końcu blisko setka chętnych.

Zeno odetchnął głębiej. Mimo wszystko nie było powodów do paniki. Skontaktować się z tą stacją, którą widział z kokpitu, poinformować, w czym problem, i sprawa załatwiona. Oczywiście, skoro Cerber nie działał, system komunikacyjny był zablokowany, ale

rozwiązanie tego problemu wydaje się proste. Po prostu wylezie na zewnątrz i nada wezwanie pomocy przez radio osobiste.

Tyle że śluza główna nie dawała się otworzyć ręcznie. To musiała być jakaś blokada, o której nie wiedział, zapewne także związana z wyłączeniem się Cerbera. Śluza awaryjna też nie działała, co było trochę bez sensu. Ale co tam. Pozostawała śluza serwisowa. Ta prowadziła do segmentu transportowego na zewnątrz kadłuba, czyli po prostu do szkieletu nośnego, do którego mocowano kontenery ładunku. I dawało się ją, w razie potrzeby, otworzyć ręcznie.

Było źle. Komunikator osobisty skafandra Zeno odbierał sygnały automatyczne zarówno z orbity, jak i z Ganimedesa, ale mimo wielu prób nikt – ani człowiek, ani SI lub chociaż bot komunikacyjny – nie odpowiadał na wezwania. Zeno, powtarzając monotonnym głosem, niczym mantrę, wezwanie pomocy, obserwował pusty moduł transportowy windy orbitalnej pnący się w górę po pękach strun nanowęglowych. W stacji dokującej widoczne były już kontenery oczekujące na wpięcie w zaczepy, a następnie na zjazd w dół, co w połączeniu z brakiem części ładunku przy szkielecie nośnym statku świadczyło bardziej niż dobitnie, że rozładunek trwa w najlepsze od wielu godzin.

A operatora kontenerowca wszyscy mieli w poważaniu.

Zeno sam nie wiedział, czy jest bardziej wkurzony, czy skonsternowany. No jakim cudem, do cholery, mogą nie odbierać jego wezwań?! Ktoś go powinien opieprzyć choćby za nadawanie na kanale alarmowym!

Jego frustrację pogłębiał fakt, że wyraźnie widział jakiegoś człowieka w skafandrze, pracującego przy mocowaniu kontenerów do modułu windy.

– Po prostu niewiarygodne – jęknął pod nosem po powtórzeniu kolejnego wezwania. I nagle podjął decyzję. Może to, co zamierzał zrobić, nie było zbyt mądre, ale chwilowo po prostu nic innego nie miałooby sens. Cofnął się do śluzy, zabrał przecinak plazmowy, pistolet manewrowy zintegrowany z harpunem i wymienił butlę z mieszanką powietrzną na nową. Przecinakiem plazmowym przeciął w dwóch miejscach jedną z rur klatki zabezpieczającej tunel serwisowy sekcji transportowej, następnie przepchnął się na zewnątrz klatki i uruchomił pistolet manewrowy. Struga zimnego odrzutu pchnęła Zeno w stronę stacji windowej, na której szczycie dokował właśnie moduł transportowy. Kilkoma krótkimi wystrzałami gazu Zeno skorygował kurs, obrócił się i ponownie ściągnął spust. Zaczął hamować, by nie

wyrznąć, z prędkością blisko pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, o kontenery oczekujące na załadunek. Chwilę później zaklął pod nosem, bo zorientował się, że nie trafi w kontener, który obrał za cel. Przeleci dosłownie o pół wyciągnięcia ręki za daleko, by się o niego zaczepić. Wystrzelił harpun. Szarpnęło, zaraz potem struna nawijana wewnątrz mechanizmu przyciągnęła go do windy. Stracił dech w płucach, gdy łupnął w kontener z siłą większą, niż się spodziewał. Po chwili się rozejrzał. Gdzie się podział ten gość pracujący przy załadunku i jakim cudem jeszcze nie zauważył, że właśnie przyplątał się nadliczbowy kosmonauta?

Wtedy go zobaczył. Tamten wypływał zza kontenera, operując mikrosilnikami napędu osobistego. Był na tyle blisko, żeby Zeno, poprzez szybę jego hełmu, ujrzął twarz.

To było jak cios między oczy.

Zeno mimowolnie krzyknął, gdy silnym kopnięciem odbił się od kontenera i wcisnął aktyuator pistoletu odrzutowego. Chciał zejść z drogi sunącego na niego... czegoś. Bo inaczej jego umysł nie był w stanie nazwać monstrum, w którego oczodół wbite było... coś. Coś jakby duża fiolka wypełniona fosforyzującą cieczą. Były też jakieś kable i obrzydliwe narośle po stronie twarzy z dziwnym cylindrem. I szalone oko. To drugie. Wściekle skaczące spojrzeniem z punktu na punkt.

Monstrum przesunęło się wzdłuż kontenera, całkowicie ignorując intruza. Zaczepiło nogą o strunę kotwicy harpuna, ale zignorowało też ją. Po prostu dalej zajmowało się swoim zadaniem. Zeno oprzytomniał, puścił aktyuator pistoletu i wduśił klawisz zwalniania kotwicy, ale jedynym, co osiągnął, było zapalenie czerwonej diody alarmowej. No tak, urządzenie ze względów bezpieczeństwa nie pozwalało na odłączenie, jeśli rozwijająca się linka wskazywała na zbyt dużą prędkość kosmonauty. A rozpędził się nieźle, choć przez panikę zbyt długo utrzymywał działającą dyszę. Zaklął i wduśił hamulec harpuna. Zaczął zwalniać, ale łagodniej, niż oczekiwał. Pomyślał o przecięciu struny, ale miał przy sobie tylko nóż techniczny z wyposażenia skafandra, bo przecinarka plazmowa została na statku. A piłowanie zwykłym nożem superwytrzymałej nanolinki miało się z celem.

Po chwili moduł transportowy windy nagle drgnął i ruszył w dół. Szybko nabierał pędu. Zeno w jednym rozbłysku olśnienia zrozumiał, że ma przesrane: nie może odpiąć się od pistoletu odrzutowego, bo nie będzie miał jak wrócić na statek. Prawie jednocześnie na urządzeniu zapaliła się kolejna czerwona kontrolka, a ponad dwukilometrowa struna się skończyła. Suma prędkości modułu windy i oddalającego się Zeno była za duża. W efekcie potężne szarpnięcie wyrwało mu pistolet z rąk, a gdy skończyła się linka zabezpieczająca urządzenie przed zgubieniem, kolejne szarpnięcie prawie pozbawiło go przytomności.

Gdyby w normalnych okolicznościach winda orbitalna pociągnęła za sobą nadprogramowy ładunek, alarmy bezpieczeństwa w dyspozytorni zawyłyby jak potępione, a jednostka transportowa zostałaby zatrzymana w chwilę później. Nic takiego jednak nie zaszło. Winda zjechała przez śladową atmosferę Ganimedesa aż do platformy załadunkowej na powierzchni oceanu skutej wiecznym lodem. Z końcówki tej absurdalnej podróży Zeno pamiętał tyle, że najpierw tkwił, kurczowo trzymając się elementów konstrukcyjnych, a potem, już na w pół uduszony, bo butla z mieszanką oddechową była niemal pusta, zataczał się przez platformę załadunkową w stronę światła służby. Na koniec szarpał dźwignię otwarcia alarmowego.

Ocknął się już bez helmu, ciężko dysząc. Leżał na posadzce komory przejściowej. Powoli usiadł. W głowie miał pustkę, czuł się w jakiś przedziwny sposób oderwany od otaczającej go rzeczywistości. Oparł się o drzwi wewnętrzne komory, a te się odsunęły i odsłoniły wąski pomost. Zrobił kilka opornych kroków, mimo ciężenia znacznie niższego niż ziemskie, i oparł się o barierkę. Jak po chwili do niego dotarło, poniżej znajdował się szeroki tor, prowadzący do służby dla pojazdów i ładunku. Do toru po przeciwnej stronie przylegało coś na kształt peronu, zavalonego jakimiś skrzyniami, beczkami i pojemnikami. Wewnętrzne wrota właśnie się rozchyliły, a zza nich powoli wytoczył się autonomiczny wózek elektryczny, ciągnący za sobą dwie przyczepy z kontenerami. Wrota się zamknęły, wózek przetoczył się jeszcze kawałek i zatrzymał. Zeno podskoczył, gdy usłyszał metaliczny zgrzyt. Pod stropem przesunął się dźwig suwnicowy. Opadły zaczepy, na peronie pojawiła się pojedyncza postać ludzka. Zeno, trochę oprzytomniawszy, przykucnął za barierką, nie chciał zostać dostrzeżony. Jakoś zupełnie nie myślał o tym, że jeśli byłby tu jakiś działający monitoring, już dawno zauważono by intruza.

Człowiek podpinający trochę niezbornymi ruchami kontenery do opuszczonych lin był jakiś taki nieforemny pod swoim kombinezonem. Gdy odwrócił się drugim profilem, Zeno dostrzegł fosforyzujące coś wbite w oczodół i mocno zdeformowaną czaszkę. Głębiej odetchnął.

– To się nie dzieje – mruknął do siebie. Samotne loty wyrobiły w nim tendencję do gadania ze sobą. – To się nie dzieje. Jestem nadal w śnie hipotermicznym i majacząc.

Oczywiście, jakoś nie przekonał nawet samego siebie.

Po chwili zewnętrzne osłony dwóch sąsiadujących kontenerów odjechały wraz z głowicą dźwigu i ukazały zawartość, dotąd hermetycznie zamkniętą. Dwa piętrowe stelaże. Na każdym dwanaście kapsuł hipotermicznych, w dwóch rzędach po sześć. Pod

półprzejrzystymi pokrywami widać było ludzkie sylwetki. Gdy po około dwóch minutach zostały zdjęte dwie następne osłony ładunku, oczom Zeno objawiły się dokładnie takie same stelaże z takimi samymi kapsułami hipotermicznymi. Potem wózek ruszył po torze, ciągnąc przyczepy gdzieś w głąb placówki. Wrota śluzy zgrzytnęły, zamigotało światło, wjechał kolejny wózek holowniczy z dwiema przyczepami.

Zwartość odsłoniętych kontenerów była identyczna. Ludzie. W stanie pogłębionego snu, o spowolnionych procesach życiowych. Zamiast sprzętu wydobywczego na Marsa, kontenerowiec Zeno przywłókł dziewięćdziesiąt sześć kontenerów na Ganimesa, prawdopodobnie każdy z dwunastoma kapsułami hipotermicznymi.

Czyli tysiąc sto pięćdziesiąt dwie osoby.

Zeno poczuł się jakoś słabo.

Powinien zabrać ze śluzy butle z powietrzem. Nie został zauważony albo jest ignorowany – mógł więc podczepić się do windy odjeżdżającej po następną partię ładunku i wrócić na statek. Ale tego nie zrobił. Sam nie rozumiał swojego postępowania, wręcz miał absurdalne wrażenie, że coś popycha go do odwrotnego działania... Zaczął iść chodnikiem wzdłuż toru za drugim z wózków, niespiesznie toczącym się teraz w głąb placówki. Co robili z tymi ludźmi? Przerabiali na te... to coś ze świecącymi cylindrami w oczodołach? Na jakieś bioroboty? Ale co tu w ogóle zaszło? O co tu chodziło, do cholery?!

Wózek z przyczepami dotarł do rozgałęzienia toru jezdnego i skręcił w lewo. Zeno zeskoczył z pomostu, z powodu niskiego ciężenia niespecjalnie przejmował się wysokością. Wózek zatrzymał się kawałek dalej przy kolejnym peronie. Znowu pojawił się człowiek nieforemnie wypełniający kombinezon. Stelaże z kapsułami musiały mieć jakieś kółka, bo zdeformowany człowiek po prostu je zdjął z platformy wagonika i pociągnął w stronę rozsuniętych drzwi za sobą. Zeno zaczekał, aż tamten zabierze drugi stelaż, a potem wdrapał się na wagonik, a z wagonika przeskoczył na peron. Przycupnął za obdrapanym pudłem przy skraju peronu i popatrzył na pistolet odrzutowy w rękach, przypominający trochę małą dziwną strzelbę bez kolby ze zbiornikiem nad „lufą”. W sumie jakaś broń to była... Ustawił pokrętkiem odrzut na minimum, żeby nie odrzuciło go przy tak niskim ciężeniu i odbezpieczył harpun. Nagle zmarszczył brwi i podniósł głowę; z ciszą tutaj było chyba coś nie tak. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi, bo ciągnik holujący przyczepy ze stelażami brzęczał napędem, zgrzytały sprzęgi, miarowo pulsował cichy sygnał dźwiękowy

ostrzegający przed jadącym pojazdem z dużym obciążeniem, wreszcie skafander Zeno szeleścił przy każdym ruchu...

Za cicho. Było za cicho. Odwiedził dotąd jedynie dwie bazy planetarne, ale tego typu placówki miały do siebie to, że jeśli widziało się jedną, widziało się wszystkie: różniły się najwyżej wielkością i rozkładem pomieszczeń. Reszta pozostawała bez zmian, na przykład charakterystyczny szum wentylacji, systemów środowiskowych czy pikanie co istotniejszych urządzeń, informujących w ten sposób, że działają. Tu tego zabrakło. I powietrze było jakoś dziwnie zatęchłe, duszne. Dopiero teraz się zorientował. Jakby część systemów była wyłączona... Nie jakby. Na pewno była wyłączona! Cholera, w zasadzie nie wiadomo, co tu jest w powietrzu, a on leżąc bez hełmu, jak ostatni bezmózg. Skoro jednak już wlaźł i jest tu co najmniej ze dwa kwadransy, to po ptakach, albo coś złapał, albo raczej nic mu nie grozi. Raczej jest bezpiecznie, bo sensory wykrywania skażeń, które miał na wyposażeniu, nie podniosły póki co rabanu.

Wahał się jeszcze przez moment, czy jednak mimo wszystko nie wracać. Ale podniósł się zza skrzyni i przemknął w stronę ciągle otwartych drzwi, za którymi zniknęły stelaże z kapsułami. Dalej był szeroki i wysoki korytarz, wręcz dziwnie wysoki i szeroki jak na standardy baz planetarnych. Gdy odszedł od drzwi, oświetlały go już tylko standardowe światła nocne. Zeno zwolnił krok – z kryjącymi się w półmroku ścianami było coś nie tak. Wyciągnął rękę, ale ją cofnął, otrzeźwiał. Miał rękawice skafandra na dłoniach, ale to nie znaczyło, że powinien macać wszystko, co wyda mu się dziwne. Na przykład ścianę pokrytą jakąś błoną. Żyjącą błoną z czymś jakby żyłkami... Przeszedł jeszcze kilka kroków, wiodąc wzrokiem wzdłuż ściany; dalej błona stawała się, grubsza, pojawiały się jakieś wypustki.

– Szefie, to jak z tym w końcu lecimy? – rozbrzmiało tuż obok Zeno. Ten omal nie dostał zawału. – Osobniki żeńskie na części, z męskich wybieramy tych o najwyższych parametrach i robimy zombie-boty?

Komunikator wbudowany w kołnierz skafandra. Włączył się automatycznie, gdy wykrył transmisję na paśmie ogólnym. Zeno głęboko odetchnął, ale na tyle przytomnie, żeby hałasem nie sprowokować włączenia funkcji nadawania.

– Dział Biobroni chce najlepsze obiekty, ale kilka odznacz jako materiał na zombie. Wczoraj padły dwa, jednego uszkodziły niekontrolowane mutacje, a musimy mieć rezerwę.

– Aż trzy wyłączone jednego dnia?!

– Niestety. Cholera, jak będą tak padały, będzie kiepsko.

– Mnie to mówisz? To ja będę musiał częściej wlaźć w Strefę Wpływu, bo oczywiście robotów nadających się do prac tutaj jak brakowało, tak brakuje nadal!

– Nic ci na to nie poradzę. Wracaj do pracy.

Jakie zombie? Jaka niby Strefa Wpływu? Jezu Chryste, Wisznu, Buddo i Mahomecie, co tu się...?

Uciekać. To powinien zrobić. Uciekać stąd. Póki go nie zauważono. Pewnie nawet nie zabezpieczano obiektu jakoś specjalnie przed wejściem kogoś niepożądanego, bo i skąd ktoś taki miałby się wziąć? Musiał to wykorzystać. Wrócić windą na górę. Potem do statku. I cicho jak trusia czekać na rozwój sytuacji. Jeśli brak jego normalnej pobudki był celowy, statek dostanie paliwo, a potem polecenie odlotu. Jeśli brak standardowego wybudzenia i wzbudzenia systemów statków nie były celowe, w końcu ktoś się pojawi. A wtedy on będzie udawał zdziwionego i właśnie wybudzonego awaryjnie!

Tak o tym pomyślał.

Ale potem poszedł dalej korytarzem porośniętym tajemniczą biomasą, popędzany... sam nie wiedział czym.

Żyłki... Te żyłki w biomasie pokrywającej wszystko... W każdym razie układały się w jakieś wzory. Zeno był tego pewien, choć jednocześnie nie potrafił określić, czym przejawia się prawidłowość tych wzorów. Gdy przyjrzał się dłużej, odniósł także wrażenie, że się poruszają, mimo że jego wzrok mówił coś zupełnie innego. Co więcej, gdy odkrył jakieś kable wchodzące w zgrubienia biomasy, prawie od razu zorientował się, że w pobliżu połączenia ten cały ukryty, nieuchwytny porządek zanika, podobnie jak wrażenie ruchu.

Dziwne, bardzo dziwne. I na swój sposób fascynujące.

Poszedł dalej, tropem tajemniczego okablowania, i odkrył jakieś dziwaczne urządzenie. Przypominało dwa bojłery na kółkach oplecione siecią rurek i z panelem kontrolnym jarzącym się słabo w półmroku. Przez ekran panelu przewijała się cała masa niezrozumiałych informacji. Z kilku nazw i określeń Zeno wywnioskował, że zadaniem urządzenia było generowanie w biomasę modulowanych impulsów elektrycznych, zakłócających jej naturalną aktywność bioelektryczną.

Dziwnie i coraz dziwniej.

Zabłądził. Nie wiedział, jakim cudem, ale zabłądził. Zszedł w dół, wlaź w jakieś korytarze pełne biomasy i kabli... Co ciekawe, jakoś go to nie niepokoiło. Swoją drogą... Czy słyszał głosy? I to nie z komunikatora? Nie, niemożliwe, no bo niby skąd... Po prostu trochę miesza mu się w głowie od tej absurdalnej sytuacji.

– Co ja wyczyniam? – zapytał niezbyt przytomnie sam siebie, jakby zapomniał o komunikatorze skafandra. – Co ja, do cholery, wyczyniam?

– Halo, kto mówi!?! Kto tu jest?

Zeno zaklął w myślach.

– Szefie, słyszałem kogoś na ogólnym! Ktoś wchodził w Strefę?

– Nie – zatrzeszczało. – Sprawdzam, może ktoś od konserwacji znów nie zgłosił...

Brak zarejestrowanych wejść. Wyłaź stamtąd.

– Ale...

– Słyszysz głosy, jesteś w Strefie Wpływu! Jeśli nie będzie cię w służbie za dwie minuty, nie wpuszczę cię.

Świadomość Zeno zarejestrowała wymianę zdań załogi jako coś bardzo odległego. Wpatrywał się właśnie w z grubsza ludzki kształt wyglądający jak wtopiony w biomasę. Rozpoznawalny był tylko ogólny zarys, bo poza lewym barkiem i częścią twarzy, reszta ginęła w biomasie.

Tak to karmili?

Nie, nie karmili. Chodziło o ludzki mózg, który stawał się częścią sieci neuronowej tego czegoś.

Chwila... Skąd to wiedział?

Zapomniał o tym zaraz potem, zupełnie, jakby coś wymazało tą myśl w jego głowie.

Zeno błędził dalej. Widział, że czegoś szuka. Nie wiedział czego, ale wiedział, że rozpozna to, jeśli zobaczy. Złapał się w pewnym momencie na wpatrywanie się w drobne żyłki przecinające żyjącą masę i tworzące świetliste wzory. One... były piękne.

Zmusił się, by ruszyć dalej, szukać tego, co miał znaleźć.

Nie wiedział, jak długo chodził po korytarzach pełnych żyjącego czegoś, kabli i dziwnych urządzeń. Kompleks okazał rozleglejszy, niż można by się spodziewać, a sporą jego część wykuto najwyraźniej w wiecznym lodzie pokrywającym ocean Ganimedesa.

A potem trafił w dziwne miejsce, do jakby komory o ścianach pokrytych asymetrycznymi wielokątami, z biomasą rozlewającą się i łagodnie pulsującą od centrum pomieszczenia. Wiedział z miejsca, że komora nie jest dziełem ludzkich rąk. Wiedział, że to świątynia. Czy raczej jej część. Ta, która przetrwała jakimś cudem eony, od czasu, gdy ostatni wyznawca pradawnego kultu przemierzał jej korytarze.

– Historia się powtarza – rozległ się szept, jakby dobiegający z głębokiej otchłani. Zeno nie był zaskoczony ani nawet zaniepokojony. Więcej: poczuł ulgę. Przecież szukał odpowiedzi, a teraz ją otrzyma. – Historia się powtarza. Jesteś ciekaw?

Był ciekaw. Oczywiście, że był ciekaw.

Słuchał szeptu z czasów przed czasami, śledząc wzrokiem cudownie przemieniające się wzory na żyjącym ciele Uwięzionego Boga. Były takie piękne...

Przed eonami, gdy wszechświat można było nazwać jeszcze młodym, na świecie podobnym do ziemskiego z czasów dinozaurów narodziła się cywilizacja. Cywilizacja się rozwijała, podupadała, kilkakrotnie zdawała się być o krok od zagłady, ale parła do przodu. Ta`eh-Si, bo tak się sami nazywali, stali się w końcu cywilizacją techniczną. Ich kultura, ze względów, które można nazwać religijno-mistycznymi, kładła nacisk przede wszystkim na nauki biologiczne. W ten sposób zaczęły powstawać żywe maszyny lub maszyny będące połączeniem żywych organizmów i bardziej tradycyjnych konstrukcji. Wkrótce pojawiły się także sieci informacyjne i komputery. Technologia stawała się coraz bardziej zaawansowana, rozpoczęły się loty kosmiczne, z początku nieśmiałe, ograniczone do jednego systemu, ale po kilku stuleciach już pierwsze półorganiczne statki przemierzały galaktykę.

Ale postęp okazał się mieć swoją cenę. Macierzysty świat umierał. Podszyta religią, biotechnologia zbyt mocno naruszyła równowagę ekosystemu, co zaowocowało jego powolnym rozpadem. Usiłowano zaleczyć problem, ale doprowadzono tylko do reakcji łańcuchowej niekontrolowanych mutacji, ogarniającej cały żywy świat. Niestety, zauważono to zbyt późno, a potem zbyt długo ukrywano prawdę z powodów polityczno-religijnych.

W efekcie cała zaawansowana nauka Ta`eh-Si nie była w stanie zrobić czegokolwiek ponad odsuwanie w czasie nieuniknionej zagłady.

I mniej więcej wtedy jeden ze statków natknął się na boga.

Bóg ogarniał całą biosferę swojego świata, żył z nią w pełnej symbiozie. Był niemal ucieleśnieniem wierzeń o Khr`A, bycie zespolonym w jedność z całym światem żywym, o tym szczytnym ideale, do którego powinni dążyć dobrzy Ta`eh-Si. Ich kultura, tak jak i ludzka, dzieliła się na wiele frakcji. Jedni chcieli badać boga, inni sugerowali zostawić go w spokoju. Jeszcze inni chcieli go przeszczepić w swój umiarkowany świat, by ich ratował. I ci ostatni uczynili to, wbrew opinii swoich naukowców, w tajemnicy przed swoim ludem. Pobrali próbki, przeszczepili boga w swój świat.

Bóg wszedł w interakcję z chorobą mutacyjną. Ona zmieniła jego, a on ją. Stał się Szalonym Bogiem, może bawiącym się, a może eksperymentującym z właśnie nabytą umiejętnością szybkich przemian DNA, RNA i czegoś o nazwie K`ti. Szalony Bóg zaczął się rozrastać, przejmować nowy świat, asymilować go i jednocześnie przemieniać w imię tego, co uznał za swoje potrzeby. Nie stał się wybawieniem, ale przypieczętowaniem zagłady. Więcej, nauczył się korzystać z narzędzi cywilizacji Ta`eh-Si, a nawet sięgnął po na wpół organiczne statki, by spróbować rozpełznąć się po kosmosie. Wtedy ktoś użył broni ostatecznej – czegoś w rodzaju wirusowego biomodifikatora, który doprowadził do błyskawicznego wymierania wszystkiego, co żyje – być może świadomy, że jeśli Szalony Bóg nie zostanie powstrzymany, skazi swym istnieniem miliony planet pełnych Świętego Życia, które znajdowały się tylko w tej jednej galaktyce.

Udało się. Szalony Bóg został zgładzony.

– Garstka naukowców-kapłanów... bo musisz wiedzieć, że część spośród zajmujących się naukami biologicznymi miała status kapłanów... próbowała ocalić co się da – szeptał zniewalająco głos. – Zdobyli statek i przybyli tutaj. Odtworzyli mnie z próbek oczyszczonych z mutagenu, a potem rozwinęli. Wykorzystali do tego szczątkowe życie w oceanie pod lodem tego księżycy, kilku z nich złożyło nawet w ofierze swoje własne życie i pozwoliło się pochłonąć, bym nauczył się myśleć na ich sposób. Ale jednocześnie skuli okowami, które teraz wykorzystuje mój lud. Stałem się Uwięzionym Bogiem. Zabawny paradoks, prawda? Cztili mnie, ale jednocześnie więzili. Chcieli odtworzyć swój świat na waszej Ziemi. Nie udało im się. Wymarli, a ja tu pozostałem, jako Uwięziony Bóg – oświadczył głos. – Teraz twoi robią to samo; trzymają mnie w okowach i chcą wykorzystać do swoich celów. Z tym, że chodzi im jedynie o władzę i zysk, dwa narkotyki twojego ludu, a nie tak szczytne ideały, jakie mieli naukowcy Ta`eh-Si.

– Co mam zrobić? – Zeno usłyszał swój głos jakby z oddali.

– Mogłem cię tu ściągnąć, pobudziwszy zdalnie obszary twojego mózgu, ale nie mogę cię do niczego zmusić ani bezpośrednio tobą sterować. Uwolnij mnie. Uwolnij mnie, a ocalimy twoją cywilizację przed nią samą i takim ludźmi, jak ci w bazie ponad nami. Uwolnij mnie, a ci, którzy prawie zamordowali twój ojczysty świat w pogoni za zyskiem, zapłacą za swe zbrodnie.

Zeno się wahał, coś w głębi jego umysłu mówiło, że...

– Ci ludzie uczą się mnie – kontynuował bóg po chwili. – Uczą się moich mocy. Jeśli im się uda, powrócą na twój świat jako zbawcy przywracający całe to życie, zniszczone przez twój gatunek wiekami krótkowzrocznej eksploatacji. Widziałeś, do czego są zdolni i jakich zbrodni się dopuszczają. Chyba nie chcesz, by ich plan się powiódł? By jako zbawcy ludzkości zyskali pełnię władzy nad nią?

Nie, Zeno tego nie chciał.

Kiedyś nazywał się Zeno Chang. Teraz miał ponad dwumetrowe ciało pokryte organicznym metalem i tylko w ogólnym zarysie przypominał człowieka. Stał w bezruchu na mostku swojego statku od wielu godzin, patrząc na tarczę Ziemi, powiększającą się w miarę podróży.

Bóg nadchodził. Wystarczy, że choć jeden zarodek dotrze do powierzchni planety, a wkrótce bóg przejmie kontrolę nad tą resztką biosfery, która nadal funkcjonowała. Następnie sama ludzkość stanie się Jednością. Piękno tej wizji wręcz obezwładniało to, co w nowym ciele pozostało z dawnego Zeno, i jedynie dzielone z bogiem wspomnienia o milionach światów, na których życie już dostąpiło Jedności, pozwalały cierpliwie czekać na rozwój wypadków. Owszem, koniec końców bóg pochłaniał całkowicie życie, pozostawiał po sobie pustynne, wymarłe światy, ale te kilka set, czy nawet kilka tysięcy, ziemskich lat trwania w Jedności z najwspanialszą istotą we wszechświecie z pewnością to wynagrodzą.



SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

PARTNERZY





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

